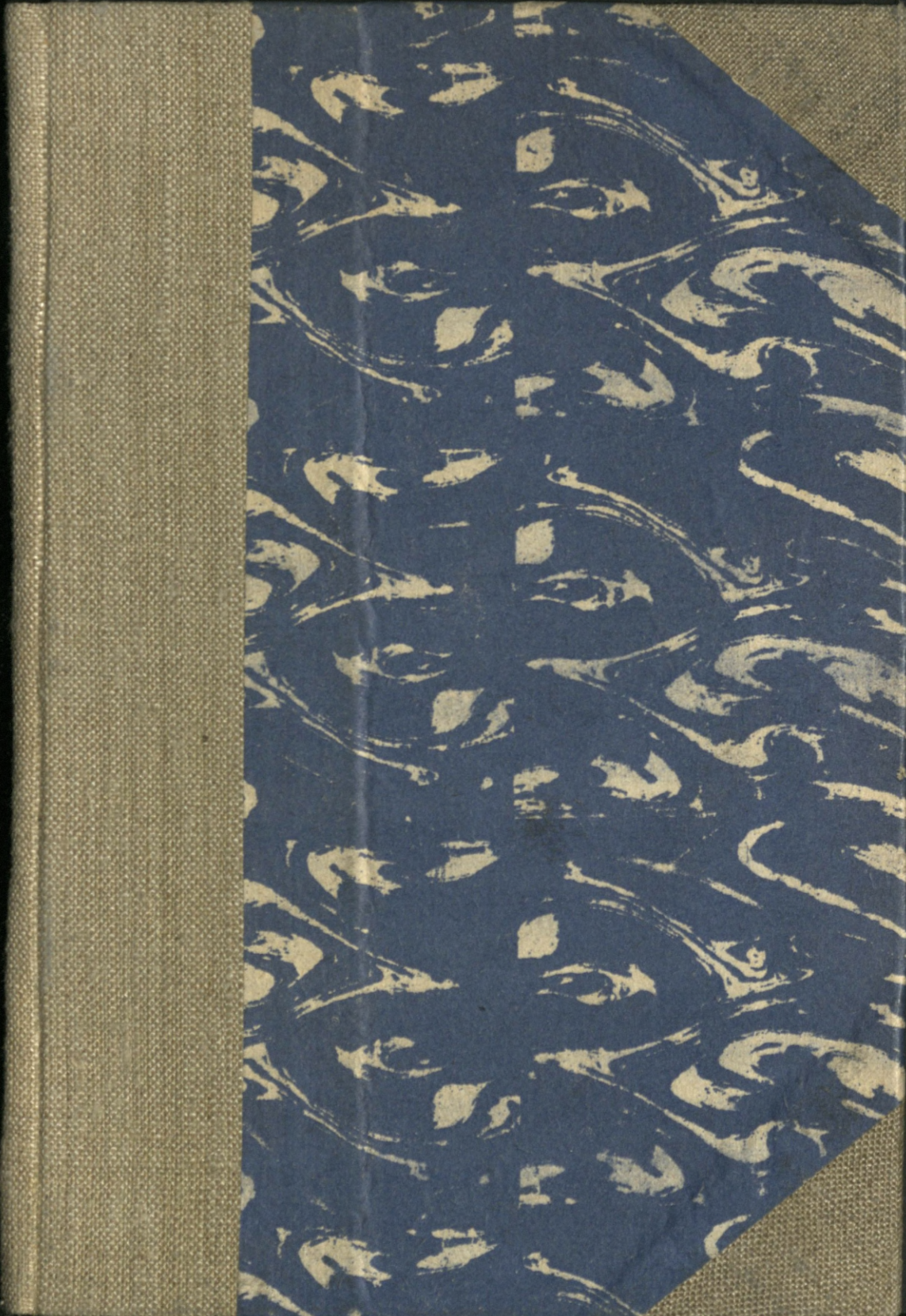


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19



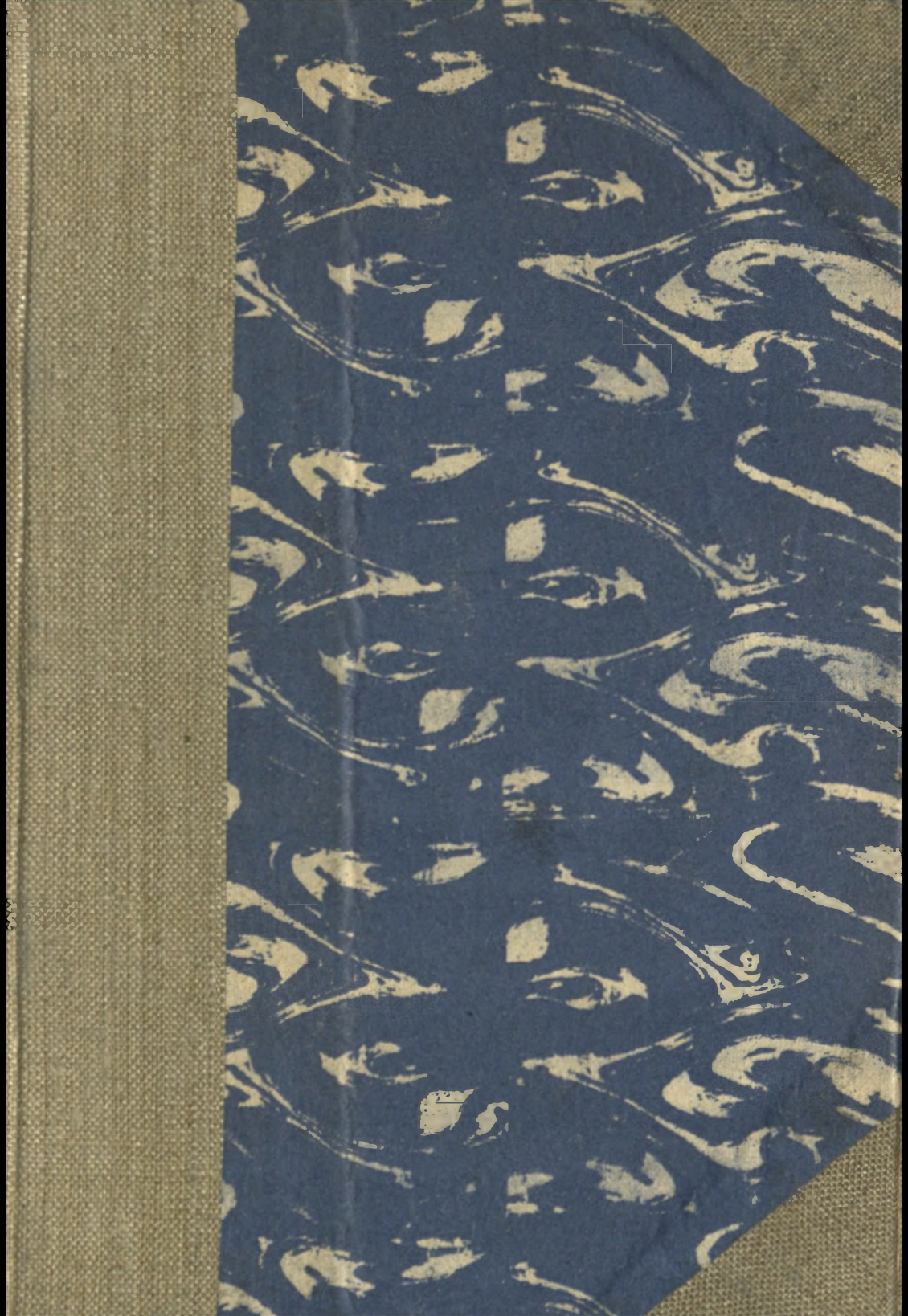
Inches 1 2 3 4 5 6 7

Centimetres 1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11 12 13 14 15 16 17 18 19

Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black

Colour Chart #13

DANES PICTA .COM



ANTONI CHOŁONIEWSKI

*B. 171.*

# TANIEC WŚRÓD MIECZÓW

NOTATKI POLITYCZNE  
Z CZASU WIELKIEJ WOJNY

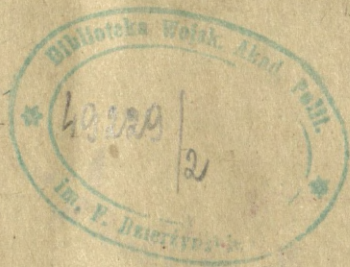
BIBLIOTEKA  
TECH. SZK. LOTN.

~~IN~~  
BIBLIOTEKA  
TECH. SZK. LOTN.

*Chołoniowski*  
~~Nr. 171~~

~~2.352~~

WARSZAWA — KRAKÓW  
NAKLĄDEM KSIĘGARNI J. CZERNECKIEGO.



Drukarnia Nakładowa w Krakowie, Kopernika 8.

# TANIEC WŚRÓD MIECZÓW.

## WSTĘP.

Porozumienie się polskiego pisarza politycznego z czytelnikiem było w latach wojny światowej 1914 do 1918 z początku pod trzema rządami zaborczeni, moskiewskim, pruskim i austriackim, a potem już na całej przestrzeni Polski pod panowaniem tak lub inaczej przebranej niemczyzny, sztuką niezmiernie trudną. Nie trzeba dodawać, że sztuka ta stawała się niewysłowienie ciężką dla tych, którzy znając bliżej dzieje tysiącletniej walki Słowiańszczyzny zachodniej i Polski z światem niemieckim i straszny jej wynik, przeżywali piekło udręki wobec tak długo przeciągającej się możliwości zwycięstwa Niemiec.

Prasa polska wogóle, a w szczególności poszłakowana silniej o sprzyjanie nieprzyjaciołom Niemiec, była skrupowana cenzuralnie do ostatnich granic. Żyła, a raczej wegetowała wśród najwymyślniejszych utrudnień i najzłościwszych szykan. Pismo, które było dla autora tych słów warstwą pracy publicystycznej w tych ciężkich latach (krakowski „Głos Narodu“),

należało do najbardziej podejrzanych o nieprawomyślność ze stanowiska austro-niemieckich interesów. Odpowiednio do tego wiodło też żywot szczególnie niewesoły pod ciągłą opieką całego szeregu władz nadzorczych, których pierwsze ogniwa znajdowały się na miejscu, ostatnie w Wiedniu, z kąd szły surowe napomnienia, gdy nadzór krakowski wydawał się niedość czujnym. Kreślenie artykułów, doprowadzające do rozpaczy piszących, istny potop często zmieniających się instrukcji, które wprowadzały chaos i uniemożliwiały pracę redakcyjną, powoływanie redaktorów przy lada sposobności ad audiendum verbum do biur policyjnych, to były rzeczy mniej więcej wspólne organom polskiej opinji. „Głos Narodu“ był dodatkowo jeszcze nękanym. Od czasu do czasu otrzymywał upomnienia nie za to, co pisał, lecz czego nie pisał, upomnienia z powodu braku zapału „patriotycznego“, co zdaniem c. k. władz robiło wrażenie, jakoby pragnął klęski Austro-Węgier, a zwycięstwa „wroga“, t. j. koalicji. Grożono mu różnemi następstwami. Bywał zawieszany czasowo. Pod grozą zawieszenia „na zawsze“ żył ciągle. Ze strony różnorakich biur szpiegowskich szły donosy na redaktorów, z których tylko nieliczni notorycznie niezdolni do dźwigania karabina austrjackiego pozostali na placu i każdej chwili mógł spaść na nich cios pozbawienia wolności osobistej.

Z wysiłkiem trzymało się rozstrajające się nerwy w porządku i trwało na stanowisku, nie łamiąc pióra Tego, w co się wierzyło i czego się pragnęło

dla kraju, nie można było napisać w warunkach, w których brak entuzjazmu dla czarno-żółtych i niemieckich sztandarów, poczytywano już za surogat „zdrady stanu“. Ale oszustwo „niepodległej Polski“, robionej w Berlinie, bałamuciło opinię narodową, pozabawioną wiadomości ze źródeł emigracyjnych. Musiało się tej szkodzić przeciwdziałać w rozmiarach i środkach, jakie były możliwe. I tu rozpoczyna się istny taniec wśród mieczów tego łamu publicystyki polskiej, która konieczność tej pracy uznawała.

A możliwem było głównie robienie „nastrojów“. Pożądaną oryentację polityczną można było tylko sugerować czytelnikowi takimi środkami, jak n. p. skoncentrowanie uwagi na zaborze pruskim i jego niezmiennych w niczem warunkach bytu, co wobec przemilczania tego „wstydliwego“ tematu przez inną część prasy tem bardziej musiało uderzać; podkreślanie wszystkiego, co bodaj okrężną drogą budziło czujność na grozę niemieckiego niebezpieczeństwa; pilne rejestrowanie planów i prac wszechniemieckich, uwydatnianie niemieckiej ideologii zaborczości, militarizmu, wstecznictwa, nieprzejednania wobec słabszych. Gdy nie można było inaczej, biło się w Niemców rosyjskich, jako podpory polityki antypolskiej i wogóle reakcji, a ostrze skierowane było w Niemców wogóle. Takich rzeczy bezpośrednio nikt nie mógł atakować, ale gdy suma tego wszystkiego stwarzała atmosferę podejrzaną i widocznem było, że czytelnik jest orjentowaany w kierunku przeciwniemieckim, następowały upomnienia, ostrzeżenia, złe

noty, groźby, wreszcie kary, które zawsze pozostawiały domyślnik, że — może przyjsć coś jeszcze gorszego.

W ten sposób pracowało się i cierpiało przez lat długich cztery.

W zbioru niniejszym dajemy garść takich notat, pisanych w najdonioślejszej dla ojczyzny chwili dziejowej, notat, na których osiada już szczęśliwie pył, czyniący je dokumentami z jednej strony prądów, jakie przepływały przez społeczeństwo w latach wojny światowej, z drugiej — do dziejów ostatniej cenzury zaborczej na naszych ziemiach. Autor uczynił oczywiście drobny wybór z kilkuletniej codziennej pracy, podając czytelnikowi to tylko, co jeszcze dziś może go zająć i zapewne długo zajmować go będzie.

29 maja 1920.

## KRÓL.

---

Był pewnego razu król, młody, piękny, waleczny, który postanowił zawojować całą ziemię. Zgromadziwszy rycerzy, rozpoczął dumny bój przeciw wszystkim i powodziło mu się nadzwyczajnie: bił przeciwników swoich na prawo i lewo i panowanie swe rozszerzył na niezliczone ludy i na niezmierne obszary. Zdobył on wszystko, o czem można było zamarzyć. Ukorzyli się przed nim potężni monarchowie, ubóstwiali go żołnierze własni, nagromadził bogactwa olbrzymie, pojął za żonę najdumniejszą królową, jaka była wtedy na świecie, a miał lat zaledwie dwadzieścia i kilka. Ożywiały go najszlachetniejsze żądze i miecz stał się w jego ręku szerzycielem dobroczynnych urzędów i pięknych myśli. Młody król krzewił po wszystkich zdobytych ziemiach cywilizację, albowiem sam wielbił jej dary i cenił jej twórców. Kiedy pewnego razu zburzyć miał zdradzieckie miasto, rozkazał, aby nietkniętym pozostawiono dom, w którym zamieszkiwał natchniony poeta. Za stołem jego siadywali do biesiady śpiewacy, mówcy, uczeni, filozofowie. Z dalekich wypraw wojennych przysyłał swym

dawnym nauczycielom kosztowne osobliwości naukowe, rzadkie rośliny i nieznanne zwierzęta. Krokami jego kierowała szlachetna ciekawość odkrywca. Kazał zbudować ogromną flotę, żeby płynąć naokoło Arabji i Afryki, chciał ogarnąć przestwór od Herkulesowych słupów aż do Gangesu, chciał iść wciąż dalej i dalej, aż do końca świata. Gdy żołnierze nie mogli nadażyć jego orlim lotom, nęcił ich nadzieją ujrzenia nowych cudów. Gdy zachorował, na łożu śmiertelnem przywołał do siebie wodzów, aby opowiedali mu o krajach, jakich jeszcze nie widział, o podróżach morskich, jakich sam nie mógł odbyć. W wyprawach nie ożywiała go tylko naga żądza panowania, tylko popęd zdobywczy i pragnienie łupu. Posiadał ambicję wzniosłą, aby dla krajów zdobytych być królem sprawiedliwym i dobrym, zabiegał o miłość ich mieszkańców, uczył się ich mowy, aby być zrozumianym. I naostatek ten młody król, będąc u szczytu swego powodzenia, uczynił rzecz niezwykłą: Oto ogłosił, że pragnie, by żołnierze jego pojęli za żony panny z podbitych narodów i by w ten sposób wyrównały się wzajemne niechęci. Szczodry król dawał obcym dziewczicom posagi z własnej szkatuły, i dziesięć tysięcy oficerów i żołnierzy poszło za tem wezwaniem. Ten niezwyciężony zdobywca zamarzył, jako o koronie swych czynów, o tem, aby pobratać zwycięzców ze zwyciężonymi. Ten światłowładny wódz niósł na ostrzu swego miecza coś bardzo wspaniałego i coś bardzo niezwykłego: *ideał moralny*.

Było to wszystko przedziwne.

Najcudowniejsze atoli, że to był król — prawdziwy, jedyny w dziejach świata król z bajki, Aleksander Macedończyk.

Autentycznym królem był także dostojny Tiglat-Palasar, który rzekł o sobie: „Ja jestem Tuklat-pal-Assar, król potężny, król wojsk niezwycięzonych, król czterech stron świata, król nad wszystkimi władcami, ojciec najszanowniejszy, pasterz prawdziwy, sędzia najwyższy, olbrzym w bitwach, któremu Assur, mój bóg, obiecał zwycięstwo i panowanie nad światem“. Ów nieustannie także chodził na wojnę: do Mezopotamji, do Armenji, do Syrji i o wiele dalej. Pobijał liczne armje, wpadając w szeregi nieprzyjaciół, jak burza. Jego wojownicy, jego wozy na kołach miedzianych przechodziły przez kręte wąwozy i przez gęste lasy. Przez rzeki rzucał mosty, albo przeprowadzał się na skórach bawolich. Zdobywał różne fortece. W kunsztach wojennych osiągnął biegłość niepoślednią. Ale najszanowniejszy ojciec, pasterz prawdziwy, poczynął sobie wcale nie po ojcowsku i wcale nie po pastersku. Przed potomnością jeszcze przechwala się, że napełniał wąwozy trupami, że niszczył, burzył i palił miasta, że na plemiona obce włączał „ciężkie jarzmo swego panowania“, że całe kraje pokrywał gruzami. Jego królewska mość był cheiwy i okrutny. Kazał sobie płacić po sto talentów miedzi, po trzysta talentów żelaza, dawać dużo złota, srebra, cyny, materji tkanych. Zbierał też zdobycz bogatą w kosztownościach, słońiach i małpach, brał po 1200 koni i po 2000 wołów. Wodził tłumy jeńców, przewlekając

im sznury przez nozdrza albo przez języki, męczył ich, wbijał na pal, wieszał i krzyżował. I tak, co rok, bez ustanku, przez lat wiele, chodził to tu, to ówdzie, mordując i plądrując, w czem szukał chwały dla swego oręża.

Król Tuklat-pal-Assar był królem prawdziwym, tak samo, jak Macedończyk. Ale o nim nie można, jak o tamtym prawdziwym królu, opowiedzieć baśni, która usta słuchającego rozchyła pytaniem nieporadnym, czy to rzeczywistość, czy też promienne tylko zmyślenie? Albowiem nawet naiwne dziecko przerwie opowieść tę okrzykiem, że to przecież — prawda, szczerą prawdą <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Aluzja do Wilhelma II.

## NOTATKI

---

Luty 1915.

Manifest generalissimusa rosyjskiego Mikołaja o pojednaniu Rosji z Polską od pół roku nie może znaleźć dla siebie uchwytneho wyrazu. Poseł Jaroński rzekł w Dumie, że zmiana stosunków dotychczasowych będzie mogła dokonać się dopiero po wojnie. Sam nie wierzy w to chyba. Jeżeli graf Bobriński przy odgłosie dział prowadzi w pocie czoła „przebudowę“ polityczną w „odwiecznie rosyjskim“ Lwowie — dlaczego takiej samej pracy nie mógłby podjąć książę Jengaliczew w odwiecznie polskiej Warszawie? Wielkokiążęce słowo nie zostało dotąd poparte żadnym czynem. Zaczyna niepokoić się tem prasa Trójporozumienia, patrząca dalej w przyszłość, gdyż z widoczną do Rosji pretensją zaznacza, że dotychczasowe jej zachowanie się „nie wzbudza zbyt śmiałych nadziei co do spełnienia obietnic carskich, danych Polakom“. Ale Polacy z zimną krwią spoglądają w swe jutro polityczne. Wiedzą, co wartę są obietnice. Nie liczą na skutki „manifestów“. Liczą na nieodpartą konieczność, liczą na to, iż sprawa ich teraz, czy trochę później, mechanicznie wypłynie na wierzch, ku czemu wojna obecna kładzie znakomite podstawy. I to jest najpewniejsza nasza „gwarancja“.

6 marca 1915.

....Było to podczas walk, toczących się w Królestwie. Gwałtowny ogień działowy zmusił nieprzyjaciela do ustąpienia z pewnej wioski. Nieprzyjaciel wyszedł, a miejsce jego zajęli wkrótce

zwycięzcy. Do wsi samej wkroczył tylko sztab wyższej komendy. Była noc. Część osady płonęła. W czerwonym blasku gorejących domów przebiegały ulicami wsi jakieś postacie ludzkie wśród głośnych zawodzeń. Sztab zsiadł z koni. Naraz podbiegły ku niemu cienie zawodzące. Pół tuzina rozwichrzonych, z bólu i przerażenia obłąkanych kobiet lamentowało, złorzeczyło i klęło. Oniemiałym przybyszom wrzeszczały te postacie przekleństwa w twarz, rzuciły się z wyprężonemi ramionami, palcami sięgały oczu, by je wydrapać...

...Granaty, wpadające do wsi, zabiły kilkoro dzieci. Z wieczora ułożono je, jak zawsze, w łóżeckach. Dzieci usnęły. Nocą rozpoczęła się strzelanina i granaty uderzyły w małe, drewniane domki wiejskie. Dzieci zginęły wśród snu. Z pośród płonących domów wybiegły oszalałe matki, dopadły szeregów walczących i paznokciami swoich dziesięciu palców rzuciły się — na armię...

Te krew ścinające rzeczy opowiada w „Pester Lloydzie“ p. Ludwik Biro, korespondent wojenny, a w czasie pokoju mody komedjopisarz austro-węgierski, z pochodzenia Węgier starozakonny. W feljetonie, zatytułowanym „Królestwo Polskie“, p. Biro zapisuje różne spostrzeżenia z naszej męczeńskiej ziemi. Dziwi go tu ogromnie dużo rzeczy. Dziwią go niewygody, brud i nieporządek w kraju, w którym od siedmiu miesięcy szaleje wojna. To mniejsza. Dziwi go powszechny brak uprzejmości dla przybyszów. W pewnym wypadku, gdy chodziło o przysługę, „którą na Węgrzech byłby każdy spełnił“, p. Biro musiał odwołać się do nieokreślonego bliżej, lecz w każdym razie stanowczo przekonywującego argumentu, i to wobec kobiety.

„Nie do wiary, jak mało uprzejmymi są tutaj ludzie.“

„Tak jest — odpowiada ze spokojem lodowatym młoda dama polska — to mówią nam wszyscy cudzoziemcy...“

Papierowy człowiek z Pesztu nie wyczuwa bynajmniej, aby pod spokojem apatycznym tych słów pulsowało coś strasznego, coś krzyczącego; to tkwi za głęboko dla jego zmysłu spostrzegania. Dopiero bezpośrednie obrazy wojenne przedzierają się przez grubą skórę jego wrażliwości. Płonące chaty polskie.... Wsie-zgliszcza.... Półobłąkane kobiety, którym dzieci zabito....

„Ognisty wóz wojny — opowiada ozdobnie — po trzykroć zaszedł w tych stronach, tam i z powrotem, wypalając wszystko, co można było wypalić“. Lecz przecież: czy nie mogliby być bardziej uprzejmymi ci ludzie tutejsi?!

Wojażer wojenny zapragnął sięgnąć feljetonową sondą do dusz tubylców, usłyszeć, co czują, o czym myślą. Burmistrz pewnego miasta, położonego na szlaku walk, rzekł z kamiennym spokojem, jak owa młoda dama polska: „Gdy przychodzi jedna strona wojująca, spełniamy jej rozkazy. Kiedy jest druga, czynimy to, co ona nakaze“. P. Biro Lajos, który na własne oczy widział ślady „ognistego rydwanu wojny“, przeciągającego przez ziemię polską tam i z powrotem, czuje się kompletnie rozczarowany tą odpowiedzią. Ani śladu w niej literackich dreszczy. Prosta, zimna, spokojna. Chyba, że na dzień....

O tępy, tępy, po trzykroć tępy poeta!

6 marca 1915.

Gdy Irlandja poczęła domagać się autonomji, lord Benjamin-Disraeli-Beaconsfield stanowczo i twardo wystąpił przeciw temu uroszczeniu. Było to w r. 1879. W manifestie wyborczym, pod postacią listu otwartego do wicekróla Irlandji, księcia Malborough, wołał Disraeli: „Ważne niebezpieczeństwo grozi krajowi, niebezpieczeństwo, którego następstwa mogą być zgubniejsze od zarazy i głodu. Część mieszkańców królestwa chce przeciąć węzeł, łączący ich z Wielką Brytanią, zerwać unię, która stanowi potęgę tego państwa....“ W tym samym czasie rdzenny Anglik, Wiliam Edward Gladston, rozpoczynał swój pamiętny bój o zdobycie irlandzkiego samorządu. Benjamin Disraeli zawstydził patriotyzm tego Anglosasa. Co więcej, zawstydził nawet przeciwników home-rulu. Lord Hartington, również rdzenny Brytyjczyk, oświadczył się przeciw samorządowi, ale sądził, że jednak obawy patriotyczne lorda Disraeliego są trochę za gwałtowne. „Żadna pobudka — rzekł — nie może, mojem zdaniem, wyłómaczyć przesadnego wygrażania się pierwszego ministra o ruch irlandzkim, wywołanym w celu przywrócenia samorządu...“  
Było to w r. 1879....

Nie, było to przedwczoraj, wczoraj, dziś, jutro...

Starozakonny Disraeli broni Anglii przed irlandzkim samorządem tak gwałtownie, iż zdumiewają się srodze aż sami Anglosasi.

Starozakonni Harden, Witting, Jaffe i legion innych z furją bronią Prus przed „polskiem niebezpieczeństwem“ w Poznaniu.

Starozakonni petersburscy z „Rieczy“ i „Utra Rosii“ bronią zaciekle nienaruszalności władzy Rosji przed uroszczeniami autonomicznymi Królestwa.

W „patryjotycznym“ trzymaniu z tymi, których los wyposażył w władzę i siłę, potomkowie Sema zdają się być nie do prześcignięcia. Ale gdy pewnego dnia ujrzy się panem swego losu Parnell-autonomista, gdy wydzwignie się z pod długo gniożącego koła fortuny i gdy wspomni sobie, kto jego uroszczeniom niegdyś najhańsliwszą czynił opozycję?! Nie jest bowiem trwałym żaden porządek ludzki ani nad Tamizą, ani nad Newą, nie jest wiekuisią żadna moc, a tem mniej oparta na gwałcie, za którym czai się zezooka chęć odwetu. Alaswerze! Któż lepiej o zmienności rzeczy pod słońcem wiedzieć ma, niż ty właśnie?

20 marca 1915.

W związku z dążeniami i oczekiwaniami, które wzbudziła w Polsce chwila obecna, instynktownie wybiegamy myślą ku poprzednim naszym walkom, podejmowanym w imię odzyskania utraconego bytu. Wśród tych nawrotów do przeszłości zdarza się coraz częściej, iż pewne usta jednym tchem wymieniają daty: 1812, 1831, 1848, 1863 i — 1905. Jetto próba przemycenia do narodowej legendy także niefortunnej w skutku, a ciemnej w przebiegu rewolucji w Królestwie z przed lat dziesięć. Naniżana na wspólną nić dziejową, powtarzana aż do „utarcia się“ w dostojnem towarzystwie walk listopadowych i styczniowych, data ostatnia ma zapaść zwolna w te same skrytki serca polskiego, co wszystkie poprzednie. Przeciwno temu przemyślnictwu należy założyć uprzejme, lecz stanowcze veto. Rewolucja z roku 1905 rozegrała się na ziemi polskiej, ale nie z Polski była rodem. Zużyła dużo energii szlachetnej naszego ludu, lecz nie

17.352.-

nasze ściagała cele. Dołem jej przepływał obfity strumień krwi polskiej, lecz u szczytu siedziała w mądrej zadumie myśl obca, myśl rozbicia wszechrosyjskiego ghetta rękami tubylców. W jej wirze i zamęcie skryształizował się bohaterski typ polskiego robotnika Okrzeji, lecz nie on, ten nieświadomy rycerz cudzej sprawy, wybił piętno swe na rewolucji, która wiazańia naszego życia przegryzła z szatańską celowością, a z nożem bandyckim zesłała z widowni. Pomiędzy rzekomo polskim ruchem r. 1905 i rokiem 1863 istnieje pewna różnica. Jestto różnica przepaści, na której jednym brzegu stoi Romuald Traugutt, na drugim: litwak Jogiches, zwany „Tyszką“, dyktator rewolucji r. 1905, nienawistnie kopiący „trupa Polski“ historycznej i kierujący rozlewem krwi naszej z bezpiecznego ukrycia w — Berlinie.

20 marca 1915.

Prasa petersburska oskarża pobitego komendanta dziesiątej armji rosyjskiej, gen. Sieversa, o zdradę i zryw narzeka przy tej sposobności na nadmiar oficerów narodowości niemieckiej. W istocie, jest ich obfitość zdumiewająca. Od stulecia przeszło, od czasów Katarzyny, służy ich pod sztandarami carskimi tylu, że w r. 1831 na stu generałów, dowodzących wojskami rosyjskimi przeciw Polsce, było 56 Niemców i można nieledwie powiedzieć, że wojnę tę przeciw nam prowadzili Niemcy rosyjscy. W zasadzie przemawiałoby to tylko na korzyść Rosji, gdyż miarą siły wewnętrznej każdego narodu bywa zdolność wchłaniania żywiołów obcych. Tu jednak oglądamy rodzaj wchłaniania zgoła osobliwy. Rosja nigdy właściwie nie asymilowała swych Niemców, wiązała ich ze sobą tylko tandetną nicią karjery i grubych, materialnych korzyści. Nic ta nie okazuje się najtrwalszą, jak dowodzi przezorne wstąpienie do niewoli gubernatora warszawskiego, bar. Korffa, oraz mnożące się nieufne głosy rosyjskie o własnych nadbałtyckich generałach.

Trochę odmienne wyniki przyniósł proces asymilacji żywiołu niemieckiego w naszym kraju. Znaczny odsetek Polaków stanowią również ludzie o pochodzeniu niemieckim. Wielu z nich zajęło w narodzie polskim miejsca znamienite i wybitne.



W dziejach naszego oręża lśnią bohaterskie imiona Fiszera, Bema, Haukego, Traugutta, w rocznikach naszego odrodzenia i naszych walk o prawa narodowe zapisały się nazwiska Dekiertów, Steinkellerów, Wolszlegierów, Szumanów, Hausnerów, z Niemców pochodzili nasi uczeni Libelt, Lelewel, Kremer, Dietl, Mayer, Schmitt, Estreicher, Struve, Rehman, Brueckner, nasi pisarze i artyści Pol, Grottger, Brandt, Gerson, Rygier i długi szereg innych. Mamy „Kurlandczyków swoich w Platerach, Weyssenhoffach, Roppach, Puttkamerach, Molach, Manteufflach. Mamy tysiące dzielnego mieszczaństwa o niemieckich nazwiskach, i, rzecz szczególna, może najwięcej w Poznaniu, na gorącym gruncie walk narodowych. Ci ludzie nigdy nie byli u nas „podejrzani“, jak gen. Sievers. Stoją w pierwszych szeregach walczącej Polski, głęboko i rdzennie wkorzeni w naród, związani z nim węzłem, który tylko szlachetnych mocno wiąże, węzłem cierpienia wspólnego. W osmozie pogranicznej plemię niemieckie nam oddawało wybór swoich najlepszych, a Rosji dostarczało najnędniejszej sorty ludzkiej: aferzystów nacjonalizmu — Gringmutów, i kondotjerów despotyzmu — Rennenkampfów.

W tem wyraża się różnica między asymilacją rosyjską i polską, między asymilacją idei a żłobu pełnego.

20 marca 1915.

Ktoś w Petersburgu zatroszczył się srodze o to, aby polscy nasi Kaszubi nie ulegli — polonizacji. Intrygująca ta obawa ma związek ścisły z szerokiemi perspektywami, jakie tworzy sobie na niedaleką przyszłość bujna wyobraźnia po tamtej stronie kordonu wojennego. Gdy bowiem Rosja „zjednoczy“ wszystkie ziemie polskie, znajdą się w kręgu owego zjednoczenia także Kaszubi nasi z nad bursztynowych wybrzeży Bałtyku, a jedność polityczna podda ich tem silniej pod wpływ polskiej kultury. Możnaby sądzić, że w podobnym rzeczy obrocie niema znowu nic gorszego ze stanowiska Rosji, która dyszy żądzą wyswobodzenia i uszczęśliwienia nas.

Otóż sprawa nie jest tak jasną, jakby się nam w prostocie ducha wydawało. Kaszubi czują się wprowadzić Polakami i związek swój z resztą narodu stwierdzają czynnie wśród najbardziej trudnych warunków, atoli w nauce pokutuje ciągle jeszcze spór, czy ten mały ludek jest odgałęzieniem polskiego szczepu, czy też szczepem odrębnym, mianowicie resztką starych Pomorzan. Życie nie troszczy się zgoła o te subtelności. Rybak z pod Gdańska nie wie o kłopotach, jakich przyczynia lingwistom i etnografom, modli się po polsku do Boga, czyta polską gazetę i oddaje głos swój na polskiego posła. O ile wiadomo, popełniłby nawet tę lekkomyślność, że chętnie poddałby się dalej sięgającym wpływom kultury polskiej. Ale słowiańska Rosja stoi czujnie na straży jego szczepowej „odrębności“. Niech tylko nowe ugrupowanie sił dopisze, niech oręż rosyjski posunie się zwycięsko pod Gdańsk — wnet ukaz z Petersburga ogłosi Kaszubów oddzielnym narodem i zabezpieczy ich należycie przed wpływami unifikacyjnymi z Krakowa i Warszawy.

Obawa o „spolonizowanie“ się Kaszubów ma w Rosji już swoją tradycję. Przed laty kilkudziesięciu pewien uczony rosyjski, wyposażony obficie w środki pieniężne, przyjeżdżał na brzeg kaszubski z misją „słowianofilską“ i wśród ludności miejscowej pilnie krzewił myśl „odrębności“. Ten gorący miłośnik i gorliwy krzewiciel różnolitości słowiańskiej, znany w nauce rosyjskiej, zwał się von Hilferding. Duch tego patrioty woła dziś z za grobu o ochronę nieszczęsnych Kaszubów przed „zjednoczoną Polską“.

20 marca 1915.

Niemiecki Komitet ratunkowy w Berlinie wydał odezwę, wzywającą do składek na żywność dla mieszkańców Królestwa Polskiego. Uderza w tej odezwie jedna rzecz: motywy. Bystry, przewidujący rozum panuje tu nad łzawym sentymentem. My Polacy w wypadku podobnym z pewnością uderzylibyśmy w płaczliwy ton miłosierdzia. Racjonalistyczna natura niemiecka kieruje się innemi pobudkami. Autorowie położyli roztropnie na-

cisk na to, że głodne Królestwo może się stać rozsądnikiem chorób zaraźliwych na sąsiednie prowincje, że więc interes własny wymaga wzięcia udziału w akcji ratunkowej. Odezwa ma luje stan rzeczy w barwach ponurych: „Wielokrotne ruchy wojenne, z nieuniknionem niszczeniem domów, gospodarstw i własności, doprowadziły ten kraj nietylko do zupełnego zastoju, lecz wprawiły ludność cywilną w największą nędzę. Brak prawie wszystkiego, brak niezbędnych środków żywności. Mieszkańcom grozi głód, a w dalszym następstwie najstraszniejsze zarazy, te zaś mogłyby się stać poważnym niebezpieczeństwem dla sąsiednich dzielnic, oraz dla naszych walecznych wojsk, które nie mogą uniknąć stykania się z ludnością. Jest przeto obowiązkiem nietylko humanitarnym, lecz także ochrony własnej, aby panującej w Polsce nędzy zaradzić“. Nie trzeba dodawać, jak trafnym jest takie postawienie sprawy. Apel do czystego miłosierdzia — sądzili autorowie odezwy — mógłby zawieść, ale odezwanie się do instynktu bezpieczeństwa zawieść nie powinno. Na szczęście okazuje się, że Komitet ratunkowy w Berlinie przedstawił stan rzeczy w barwach trochę zbyt posępnych, prawdopodobnie dlatego, aby tem bardziej zagrozić ogół do ofiarności. Na tę szlachetną przesadę wskazuje równoczesny prawie przebieg obrad nad budżetem w Sejmie pruskim. W toku owych obrad minister rolnictwa Schorlemer zapowiedział, iż znaczne zapasy ziemniaków będą zarekwirowane z zajętych obszarów Królestwa Polskiego i wysłane do Niemiec.

Położenie, Bogu dzięki, nie jest zatem jeszcze tak tragiczne.<sup>1)</sup>

3 kwietnia 1915.

Jako wysłańcy rządu narodowego warszawskiego w roku 1831 bawili w Londynie dla uzyskania pomocy angielskiej: Aleksander Wielopolski, późniejszy twórca autonomji Królestwa

<sup>1)</sup> W tej formie można było podkreślić z jednej strony niskie motywy rzekomej filantropji berlińskiej, z drugiej bezczelną obłudę, która, wzywając do składek na głodną Polskę, jednocześnie rabowała z niej ostatki żywności. Pomimo całej oględności notatka powyższa została pokreślona przez cenzurę. Podaliśmy tu ją w pełnym brzmieniu.

Polskiego i Aleksander Walewski, późniejszy minister Napoleona III. Żaden z nich nie nie wskórał. Pierwszy minister królowej, Lord Palmerston, raczył tylko prywatnie rozmawiać z Wielopolskim. Oświadczył sucho i cierpko, iż powstanie jest „wielkim błędem“, że Anglia nie może podjąć się pośrednictwa między „carem a jego poddanymi“, tem mniej zaś przyjmować „rolę sędziego w sporze bezprawnym“, a przytem „nie widzi ona w tem dla siebie żadnej korzyści, ani konieczności“.

W owym czasie przebywał w Londynie, jako trzeci agent rządu narodowego, sędziwy Julian Ursyn Niemcewicz. I on czynił zabiegi celem pozyskania Wielkiej Brytanii dla sprawy naszej. Gdy także nie nie mógł osiągnąć zniecierpliwiony swą zbyt długo przewlekającą się fałszywą pozycją, jak przystało prawdziwego poeęę, zapytał obcesowo i katerycznie Lorda Greya : „Powiedz Pan otwarcie, czy zrobicie co dla Polski czy nie?“

Grey odrzekł :

— Nie nie zrobimy.

(Lisicki, „Spadek polityczny po Wielopolskim“, t. I. str. 175).

Członek angielskiej Izby gmin, Ting, wystosował do sekretarza dla spraw zagranicznych, Lorda Greya zapytanie ; Czy rządowi Wielkiej Brytanii znanym jest manifest naczelnego wodza armii rosyjskiej, zapowiadający nadanie autonomii zjednoczonym po wojnie dzielnicom Polski ? Czy rząd Wielkiej Brytanii odnosi się do owej zapowiedzi w sposób przychylny ?

— Mogę zapewnić że tak.

(Sprawozdanie z obrad parlamentu angielskiego, 4 mara 1915).

Dziwnym okoliczności zbiegiem dwóch Greyów wypowiedzi w sprawie naszej. Grey pierwszy wyrzekł „nie“, Grey drugi „tak“. W r. 1831 „nie“, w r. 1915 „tak“. Dziad mówił sucho i cierpko „nie“, wnuk mówi miętko i przytulnie „tak“.

„Ośmielono się mówić o Polsce“, rzekł w Sztutgarcie w roku Pańskim 1857 Najjaśniejszy Pan Aleksander II Romanow, po rozmowie z trzecim Napoleonem. Na wyżynach, na których blyszczą djademy koron i chwieją się miłościwe berła, nie lubią tego tematu. W r. 1863 kanclerz jego imperatorskiej mości po

raz osiatni usłyszał z ust Europy uprzejme zapytanie, co słychać w Polsce, i zapytanie to włoczył jej z powrotem w gardło.

A przecież znowu pytają i znowu mówią.

Duch Banka z krwawych pól mazowieckich przypomina się, a Sir Grey uśmiecha się do niego przyjaźnie: „Mogę zapewnić, że tak...”

3 kwietnia 1915.

Znowu aktualną stała się w dyskusji publicznej sprawa zasadniczych różnic między Rosją i Polską. Kultura bizantyńska i kultura Rzymu — pierwiastek przemocy fizycznej i pierwiastek prawa. Jako jedna z różnic kardynalnych uznana została także rosyjska skłonność do maksymalizmu i polska zdolność do kompromisu, do stopniowego osiągania celu zamierzonego.

Ta ostatnia różnica zdaje się polegać na grubym nieporozumieniu.

Od lat stu, od chwili pierwszych prób, podejmowanych celem odzyskania straconego bytu państwowego, dzieje nasze przedstawiają się jako nieustanny szereg zwycięstw maksymalizmu nad kompromisem. „Wszystko, albo nic”, zupełnie, jak u spiskowca z nad Wołgi. Maksymalistą czystej krwi jest Kościuszko, gdy nie podejmuje szabli Sobieskiego z Loretto, nie wiedząc, czy Rzeczpospolita będzie znowu sięgała aż do Dźwiny. Maksymalistami są twórcy wojny listopadowej, którzy byt sejmku, armii, państwa, stawiają na jedną kartę z powodu konfliktu konstytucyjnego, z powodu kwestji wolności druku, czy jawności obrad sejmowych, i którzy nie mogą znieść dłuższego wyosobnienia od Litwy. Maksymalistyczne jest całe pokolenie r. 1863, które nie chce wniknąć do istniejącego już, przestronnego gmachu autonomii Królestwa z polskim rządem, administracją i szkołą, bo należy mu się pałac — zupełnej niepodległości „Allez-vous en!” „Idźcie precz!” mówił Andrzej Zamoyski do Konstantego z gestem wielkopańskim. Jedyny w dziejach wypadek, iż nie mając siły do wyrzucenia obcego władcy, zapronowano mu, jako najlepsze dla niego wyjście — wyjście za drzwi.

W programach i hazardach maksymalistycznych byliśmy

nieprześcignieni, coraz głębiej i głębiej pogrążając się w upadku, nie stając się mądrymi nawet po szkodzie.

3 kwietnia 1915.

Konwencjonalne kłamstwo polskie, słyszane dziś częściej, niż kiedykolwiek, a praktykowane z nienaganną konsekwencją, głosi, iż „godność narodowa“ wymaga, aby nie walczyć z oszczerstwem, które z całą świadomością złej woli dybie na nasze dobro. Z przeciwnikiem uczciwym możemy stanąć na udeptanej ziemi. Nieuczciwość przynigdy nie doczeka się tego zaszczytu. Według poetycznej recepty, spoglądamy — i idziemy dalej.

W pewnej części prasy obcej toczy się przeciw nam nastąpiła kampania o „pogromy“. Starozakonny Jerzy Brandes rozpoczął ją w Danii, starozakonny Luzzati przeniósł ją do Włoch. starozakonny Bernstein prowadzi ją pracowicie aż w Nowym Jorku. Jak w strojnym instrumencie klawisz odpowiada klawiszowi. Siódma potęga świata, wyznająca stary zakon, postanowiła wziąć teraz sumaryczny odwet na Polsce za jej chętkę grzeszną wytworzenia rodzimego handlu. Oskarżają nas o czyny Herodowe i Neronowe, o niemowląt izraelskich tępienie, o niewiast i starców mordowanie, o domów grabienie i palenie. Niechaj świat dowie się, czem jest ten kraj, który odważył się niebacznie ująć we własne ręce swe interesy kupieckie. Cała namiętność rasy wschodniej pracuje w pocie czoła, aby podburzyć przeciw nam wszystkich, którzy w tej godzinie stanowczej mogliby okazać nam życzliwość. Cóż czynią jednak Polacy? Polacy wiedzą, że owe okropności apokaliptyczne są płodem mściwej wyobraźni i świadomość ta — wystarcza im do szczęścia. Byłe sumienie czyste. Pewien dziennik dochodzi do wniosku, że oszczerze oskarżenia zbijać, lub prostować, jest rzeczą „zbyteczną“. Uwalnia nas od tego fakt, iż „z każdego słowa przebija tu aż nadto wyraźnie fałsz i zła wola“. Dziennik wyraża „ubolewanie“, że ten fałsz „znajduje wiarę nietylko u pospólstwa, ale i u wybitnych polityków i uczonych“, pociesza się atoli tem, że „historja wyświectli kiedyś prawdę“.

Spółka Brandes-Luzzati-Bernstein szkodzi nam dziś. Historia obroni nas — pojutrze. Pytanie zresztą, czy nas wogóle obroni, skoro zabraknie jej materiału do „wyświetlenia prawdy“.

Przeżywamy przełom, od którego zależeć będzie przyszłość pokoleń. Nietylko każdy strzał, ale i każde pociągnięcie pióra tę przyszłość kształtuje. Powinniśmy zakładać warsztaty pisarskie i zaprzędz do nich całe armie piór, aby sprawie polskiej torować drogę w chaosie powszechnego stawania się, a torować jej drogę znaczy także stępić każde wymierzone przeciw niej ostrze, obronić ją przed każdą napaścią, ścigać i demaskować każdą potwarz, krążącą na jej rachnek. Jakim cudem ma świat dowiedzieć się, że fałsz jest fałszem, skoro obciążeni zarzutem mileżą? Wyniosłe wzruszanie ramionami, ani cofanie się za parawan obrażonej godności, nie przekona nikogo, że Polacy nie mordują niemowląt żydowskich. Obrona przed chytrą akcją potwarzczą Brandesa-Bernsteina powinna być podjęta jako zorganizowana kontra-akcja, jako pilny i ważny obowiązek narodowy. Powiedzmy Duńczykom, czy Włochom, że w Królestwie Polskiem żyje dwa miliony obcego ludu, że mówi on innym językiem i wyznaje obce nam ideały, że opanował jedną z najważniejszych dziedzin naszego życia, że monopol ten podważyliśmy cokolwiek, chcąc być gospodarzem we własnym kraju, że nie wchodzi tu w grę żadna nienawiść, tylko konieczność życiowa, pytajmy, czy nie zrobiliby tego samego, będąc na naszym miejscu, a ten suchy komentarz umożliwi im odrazu spojrzenie właściwemi oczyma na czystość i wiarygodność źródła, z którego wytryska baśń o „tępieniu niemowląt“. Z uwagi na ważność chwili dziejowej obrona powinna być podjęta szybko i energicznie, gdyż oszczerstwa krążą po całym świecie. Na przeprowadzenie jej powinny się znaleźć środki, choćby największe, gdyż przeciwnik jest nietylko mściwy, ale i silny.

My tymczasem załatwiamy sprawę sposobem uproszczonym : „Ubolewając“ nad nieprawością tego świata, odsyłamy rzecz przed sprawiedliwy trybunał — potomności.

10 kwietnia 1915.

Jest coś pięknego i radosnego, coś, niby symbol niezniszczalności życia, we wszechjętej świeżo dyskusji i zabiegach pod hasłem odbudowy wsi, miasta i kraju polskiego. Jeszcze pożar, którego ugasić nie mamy siły, szaleje, jeszcze dymią się niedopalone zgliszcza i wybuchają nowe płomienie, a już prężą się mózgi i ramiona ku tej pełnej myśli: o d b u d o w a ć. Nieśmiertelny instykt trwania! Nie wiemy, co przyniesie nam zbliżająca się wielka chwila finału wojennego, może spełnienie się tylko drobnej cząstki naszych górnych nadziei, może rozczarowanie, wiemy przecież, że istnieć, działać, dążyć i dążenia urzeczywistniać będziemy dalej. Jednostki przejdą, ale trwać będą gatunek. Naród żyje długo i z wysoka spogląda na kłębówisko walk i wysiłków jednego pokolenia. On, do którego zwątpienie nie ma dostępu, pójdzie mimo wszystko drogą swoich przeznaczeń i on to przez swych przedstawicieli najtęższych, wśród niedopalonych jeszcze pogorzeliśk, woła: budować — budować — budować!

Zdaje się, jakby to właśnie do nas po przez tysiące lat przemawiał roztropny list Jeremiasza: „Oto, co mówi Jahwe Sebaoth, Bóg Izraela, do wszystkich wygnańców, których przewieźć kazałem z Jerozolimy do Babel: Budujcie domy i mieszkaćcie w nich; zakładajcie ogrody i spożywajcie ich owoce. Żeńcie się, miejcie syny i córki; żeńcie waszych synów, a wydawajcie za mąż wasze córki, aby one znowu poczęły. Rozmnażajcie się i nie dopuście, by wasza liczba zmniejszyła się“.

To mądre wskazanie dla wszystkich narodów pobitych stosują dzieci Izraela w Babel — na ziemi wygnania. Pozostają mu wierni w swej przedziwnej odwiecznej rozsypce, bez piędзи ziemi własnej, bez dźwięku ojczystego języka, bez skupienia, lotni, jak piasek, uginający się jak trzcina pod wichrem zmienego losu. Jeremiaszowy nakaz: budujcie domy i mnożcie się! — jak strumień życiodajny przepływa przez pokolenia. Budują domy i mnożą się. I żyją dzieci Izraela, naprzekór dwutysiącletniej represji, urastając w potęgę, która waży na losach świata. Jakież owoce mógłby zbierać naród polski, nie w dyasporze, lecz na

własnej żyjący ziemi, naród dwudziestomilionowy, ze stosowania nakazu organicznej pracy, której nikt nigdy nie może nam odjąć — przygotowując cierpliwie i uporeczywie materiał budowlany pod dzieło przyszłości?!

Odbudowujmy domy nasze, i utrwalmy myśl że wszystko, co w nich nagromadzimy, od gwoźdźcia, wbitego w ścianę, do kasy ogniotrwałej, stanie się częścią tego dzieła przyszłego, którego naród-gałunek dokonać musi.

10 kwietnia 1915.

Sypią się na piersi naszych żołnierzy medale waleczności. Stara bitność sarmacka zajaśniała znowu w pełnej chwale i nieprzedawnioną okazuje się rzecz, niegdyś światu całemu znana, że Polak jest żołnierzem urodzonym. Ogłoszenia komend wojskowych przynoszą szeregi coraz nowych odznaczeń i opisy czynów coraz bardziej brawurowych. Oto Polak-ułan broni swojej placówki wobec napierającego z dwóch stron nieprzyjaciela i w dwa ognie wzięty — utrzymuje się przy bronionej pozycji. Oto inny pod gradem kul kilkakrotnie przedziera się nocą do stanowisk wroga i z każdej śmiertelnej wycieczki przynosi wieści pożądane. Oto czyn wachmistrza ułanów, Mateusza Mierzwy: Na czele drobnego oddziału przez trzy dni i trzy noce stawia u przejścia małej rzeczki przeważającej sile nieprzyjacielskiej opór zaciekły i — skuteczny. Wachmistrz ułanów, Mateusz Mierzwa, z tem swoim typowem nazwaniem, jakby z powieści wyjętem, i typowem męstwem polskiem, czy to nie działa, jak wspominnie nie? Czy w bohaterskim wąwozie Somosierry i na San Domingo, w Rodakowskiego ułanach siarczystych i pod Gravelotte nie walczył już ten wiarus nieśmiertelny? Prawnuku Napoleońskiego wąsala, nieodrodny Bartka zwycięzcy synu, czuję, jak łzy wzruszenia stają mi w oczach, kiedy o twoich czynach chwalebnych, o twoim medalu błyszczącym czytam — o Mateuszu M i e r z w o !<sup>1)</sup>

---

<sup>1)</sup> Szczególny dźwięk nazwiska tego chłopca polskiego w austro-niemieckim mundurze pozwolił wyrazić zapomocą gry słów buntowniczą myśl, że żołnierz nasz, walczący po stronie państw centralnych, służy za mierzwę tylko obcej sprawie.

1 maja 1915.

Naród podbity znajduje się w tem urągającym naturze położeniu, że gdy rząd najezdniczy zaspokaja jakąś elementarną potrzebę jego życia, nazywa się to „koncesją“ albo „ustępstwem“. Takie ustępstwo otrzymała część narodu polskiego, żyjąca pod „miłościwym berłem Romanonów“, w postaci ustawy o samorządzie miast. Pośrodku cywilizowanej Europy rozgrywa się widowisko godne bogów. Jeżeli napadł cię i ograbił ktoś, grasujący bezkarnie dla braku międzynarodowych więzień, a potem zwraca ci drobną cząstkę twojej zrabowanej własności, to wiedz, tubylcze z nad Wisły, że rabuś ten wyświadczył ci „ustępstwo“. Jeżeli w stołecznem mieście swem będziesz jawnie radził choćby o porządkach ulicznych, to stanie się to na podstawie „ustępstwa“. Jeżeli w kraju swoim spełniać będziesz jakiegokolwiek funkcje publiczne, jeżeli będziesz sędzią domowych zbrodni, nauczycielem domowej ciemnoty, zarządcą domowych spraw, dokona się tu misterjum politycznego „ustępstwa“. Jeżeli nie tylko przy drzwiach zamkniętych, w tajemnicy przed czujnym okiem żandarma, ale o dziwo, w szkole publicznej, w biały dzień, możesz dzieci swe oświecać w języku własnym, to stoisz i tu w obliczu drogocennego „ustępstwa“. Powietrze do oddychania i poniekąd woda do picia są w Polsce owszem przedmiotami eksploatacji swobodnej. Część przyrody należy do nas bezspornie. Natomiast to, co wynika ze stosunku człowieka do człowieka, staje się w tym przedziwnym kraju terenem dla dokonanych już, albo możliwych do dokonania „ustępstw“, które łaskawy przybysz czyni na rzecz gospodarza. Dzięki temu nikt nie chadza po świecie tylu ustępstwami wyposażony, co my właśnie.

I słusznie.

Byliśmy ustępliwi — teraz nam czynią „ustępstwa“.

2 maja 1915.

Z niedawnych walk pod Tarnowem korespondenci wojenni niemieckich pism zanotowali obraz, który wśród obecnych, a może i jutrzejszych dopustów losu, niby promień słońca powinien prześwieślać duszę polską.

Z obu stron Dunajca zmagaly się ze sobą dwie armie.

Gdy straszliwe pociski austriackich haubic i moździerzy wyły w powietrzu, a z przeciwnego brzegu rosyjskie granaty ryły w ziemi olbrzymie leje — na terenie, objętym bitwą, jacyś ludzie skrętnie pracowali około roli. Byli to chłopci polscy. Starcy i kobiety. Niektóre z kobiet miały na plecach niemowlęta w płachtach. Opodal podrostki bawiły się odłamkami granatów. Wśród łoskotu, gwizdu, szumu i jęku pocisków, dziatwa chłopska igrała z nieświadomą beztróską. Na tle sielanki tej, przecudnej i pełnej grozy, starzy ludzie z kobietami spełniali robotę mężczyzn, których wzięto na wojnę. Ustępowali, gdy kolumny piechoty, depcząc zieloną ruń, szły do ataku — wracali do pracy, skoro atak przeszedł.

Słyszeliśmy opowiadanie jednego z oficerów krakowskich, który nazajutrz po uwolnieniu Tarnowa opuścił dymiące jeszcze pole walk nad Dunajcem. Zapytany o szczegóły wypadków, miał w duszy tylko jeden obraz, a na ustach tylko jeden okrzyk zachwyconego zdumienia: „Widziałem ludzi orzących w czasie bitwy! Widziałem starego gazdę, jak z nieprawdopodobnym spokojem, jakby nic dokoła nie działo się, orał i siał! To było coś niezapomianego! Coś spiżowego było w tym chłopie. Zdawało się, że wśród tych krwawych pól stoi widmo Piasta, który w surowej powadze rozgląda się po swoim dziedzictwie!“

Ten Piast jest najcenniejszym dla nas szczegółem bitwy pod Tarnowem.

Zbrojne wędrówki ludów z nad Renu i Wołgi przeciągają przez ziemię naszą tam i z powrotem. Ale Piast, odwieczny tej ziemi gospodarz, zrosnięty z nią wszystkimi włóknami duszy, stoi w miejscu. Przeorywa krwawą skibę polską i sieje przyszłość.<sup>1)</sup>

4 maja 1915.

Są wśród nas popędliwi, którzy w szczerem zapewne oburzeniu patriotycznym, prawią o „moralnem zbutwieniu“ Polski,

---

<sup>1)</sup> Cenzura austriacka w nieprawdopodobnej swej złośliwości skreśliła cały ten ustęp, jako sprzeczny z interesami państw zaborczych.

podzielonej na różne „orientacje“. Niejednolitość opinii w obecnej chwili przełomowej jest niezawodnie najsmutniejszym zjawiskiem, jakie historia nasza z tych dni zapisze. Czegóż goręcej moglibyśmy pragnąć, niż tego, aby cały naród mógł iść nietylko za gwiazdą wspólnego ideału, lecz także zwartą kolumną, jedną drogą? Jeżeli jednak tak nie jest, i jeśli z tego powodu kują się przeciw Polsce zarzuty — to obcym należy przypomnieć, że nie na nasze specjalne życzenie wepchnięto nas w trzy różne szlaki, zaś swoim trzeba zamknąć bluźniercze usta, gdyż rozbieżne kierunki w narodzie świadczą może tylko o jego męce duchowej i o ciężko pracującym instyktcie życia, który szuka szczeliny, aby wśród najstraszszej z burz dziejowych precyzyjnie się w przyszłość.

Wielkie szczęście kroczenia jedną drogą nie jest, niestety, naszym udziałem. Odczuwając smutek tego faktu i pragnąc, aby się on mógł nie powtórzyć już w przyszłości, nie należy przecież snuć czarnych wniosków o duszy narodu. Tragizm Polski, wpędzonej fatalistycznie w drogi różne, jest tylko tragizmem, i może niekoniecznie mówi o „spruchnieniu“ i „rozkładzie“, skoro objaw podobny na odpowiednio mniejszą skalę oglądamy w innych, wcale zdrowych zbiorowiskach ludzkich. Lojalni Włosi austriaccy, pamiętni rzymskiej zasady, że wynik wojny bywa zawsze niepewny, opowiadają się przeciw sztandarom włoskim. Rosyjscy Niemcy, patrząc przezornie w przyszłość, nie spieszą też na powitanie wkraczających rodaków. Polska jednak przeciw polskim sztandarom nie oświadcza się nigdzie — dzieli się tylko w obliczu sztandarów, na których nie Piastowskie widnieją orły.

Przyszłość będzie tu mówiła o omyłkach. Dziś możemy mówić o nieszczęściu, najokrutniejszym z okrutnych. Ale gdzie znamiona „rozkładu“?

11 czerwca 1915.

W jednym z artykułów „Tygodnika Polskiego“ czytamy roztropne uwagi na temat wybijania w Polsce nadziei i marzeń o bliskiej już, pewnej, świetnej przyszłości. Ze szczytu tych marzeń niebezpiecznie byłoby spaść głową na dół — a któż zaręczył

może, co czeka nas naprawdę? Już dziś, w interwałach, gdy na rozgorączkowane głowy polskie spadnie skądś struga szczególnie zimnej wody, ma się przedsmak tego niebezpieczeństwa: chwilami czujemy się zgnębieni — aż do apatji. Bankructwo oczekiwani wygórowanych groziłoby zepchnięciem na samo jej dno. Naturze polskiej, powiada autor, „brak odpężności“. A więc: kłaść cugle na marzenia. Nie przerywać bez konieczności żadnej pracy, nie lekceważyć żadnego „codziennego“ wysiłku. Nadzieję opierać na wierze w niespożytość sił narodu, nie na zawodnych możliwościach.<sup>1)</sup>

Przestroga jest bardzo słuszna. Każdy Polak powinien codziennie powtarzać sobie w tych czasach, że wypadki wojenne mogą zdecydować o formach bytu, ale nie o istnieniu naszem — i w świadomość tej kardynalnej prawdy uzbrojony, powinien każdy, skoro z orężem w rękę nie stoi w polu, naoliwiać pilnie transmisje swego warstata „codziennego“. Ten rodzaj wiary — wiary w niezniszczalność narodu, wiary najskromniejszej a zarazem najszersze ogarniającej horyzonty — jest jedynie zdrowy. Z tą skromną i zuchwałą wiarą w duszy nie można nigdy uleść „wątpieniu“. Będziemy z nią, jak ów anegdotyczny szlachcic, co w peregrynacjach swych dostawszy się do piekła, pod Dan-tejskim godłem „Tu nie ma nadziei“ dopisał:

„Jeszcze Polska nie zginęła!“

23 czerwca 1915.

Z prawdziwym zadowoleniem czytaliśmy słowa namiestnika Krainy, zwrócone do ludności tego kraju: „Na wypadek wtrągnięcia wroga — zostańcie wszyscy na swoim miejscu! Dotychczasowe doświadczenie Galicji mówi jasno, że najlepiej tym jeszcze, którzy nie porzucili swojej ziemi“. Namiestnik Krainy podkreślił czynnik utylitarny. My znamy inny jeszcze ponadto. Nie jesteśmy przecież kupą piasku, który wiecher może rozwiać na wszystkie strony świata. Nie jesteśmy koczącą hordą nomadów, która dziś tu, jutro tam gotowa rozbić swe namioty,

<sup>1)</sup> Były to chwile najwyższych powodzeń niemieckiego oręża.

czy krany. Kochamy tę ziemię, czujemy się społeczeństwem organicznie w tę ziemię wrośłem. Poczujemy się do wspólnych z nią przeznaczeń i chcemy trwać na niej pomimo wszystkie burze. Oprócz utylitarnych, to są moralne pobudki, które sprawiły, że — wyjąwszy twardego musa, wyjąwszy wypadki uzasadnione różnymi specjalnymi przyczynami — naogół wśród rdzennej ludności Galicji objawił się ten żywiołowy instykt do pozostania, który chłopu naszemu kazał niejednokrotnie nawet na linii bojowej kryć się w piwnicach i norach, byle być u siebie. Można mieć bardzo delikatny rozum, a być zupełnie tępym wobec tych pobudek, jeśli się nie nosi we krwi przywiązania do ziemi. Dlatego też ludzie o delikatnych rozumach i jeszcze delikatniejszych nerwach,<sup>1)</sup> wyjeżdżając czasowo z naszego kraju i przenosząc swe ruchome interesy gdzieindziej, tak bardzo kręcili głową, nie widząc obok siebie równie gwałtownej fali uciekających Polaków, a teraz ogromnie są zaintrygowani, co właściwie skłoniło do pozostania tych, którzy mogli byli przecież także uciec?

No, ale jeśli sam cesarski namiestnik w Krainie radzi nas naśladować?

25 czerwca 1915.

„Dziennik Piotrogradzki“, zwracając się do naszych doświadczeń dziejowych w ciągu XIX. w., przeciwstawia konstrukcyjną, stopniową i cierpliwą pracę Lubeckich i Wielopolskich gwałtownemu działaniu „rozpętanych żywiołów romantycznych“; pierwsi tworzyli coś pozytywnego, drudzy potrafili tylko zniszczyć ich dzieła. Odpowiada na te uwagi „Ziemia Lubelska“, podnosząc, że jednak Wielopolscy i Lubeccy nie byłiby zgoła możliwi, gdyby te „rozpętane żywioły“ nie były przygotowały dla nich gruntu; „ojcem Wielopolskiego był chyba nie dar jego wymowy, nie dobre chęci sfer miarodajnych, lecz rozmodlona Warszawa“.

Stary i jałowy spór!

---

<sup>1)</sup> Żydzi.

Wielopolski, naturalnie, nie mógłby był zrealizować autonomji Królestwa Polskiego, gdyby nie demonstracje uliczne warszawskie i rewolucyjny nastrój umysłów, dla których uspokojenia rzucono wówczas na kraj nasz istną lawinę praw narodowych. Fatalnością naszą nie było istnienie „żywiołów romantycznych“, bez których nie da się pomyśleć pełnia życia w narodzie ujarzmionym; fatalnością był fakt, że żywioły te fałszywie oceniając stosunki sił, nie umiały zatrzymać się w właściwej chwili i bez opamiętania szły naprzód, że mniej lub więcej świadomie przygotowały grunt pod zdobycze pozytywne, potem te zdobycze niszczyły; fatalnością był brak koordynacji, względnie zdolności porozumienia się i skoordynowania między przedstawicielami „ruchu“ a stopniowej roboty konstrukcyjnej. Fatalność ta płynęła stąd, iż więcej, niż wrogów, nienawidziliśmy y zawsze siebie nawzajem.

Zmieniły się różne rzeczy, ale to źródło polskich przygód i doświadczeń wciąż sobie wesoło pluszcze.

3 lipca 1915.

„Wojna dzisiejsza ze wszystkimi swemi okropnościami jest następstwem logicznem dróg, po których postępowała ludzkość“.

Te słowa usłyszeliśmy w ubiegłym tygodniu z dostojnych ust w chwili uroczystego aktu wręczenia nagrody im. Jerzmannowskiego w gmachu krakowskiej Akademji Umiejętności. „Nienawiść, srogość, barbarzyństwo, zdziczenie — i krew, całe morze krwi, którem Europa pisze najnowsza kartę swoich dziejów, są następstwem logicznem opętania duszy ludzkiej przez furję nacjonalizmu, najniedorzeczniejszą ze wszystkich, jakie kiedykolwiek szalały na ziemi. Mówisz językiem innym — więc jesteś wróg. W tem przecież znajduje wszelki nacjonalizm zaczepny swą „ultima ratio“. Mózg ludzki zamącił się razem z sumieniem. Są kraje, gdzie pokolenie współczesne chowało się na katechizmach, które głosiły: gdy cudzoziemiec chwyta złoczyńcę, który jest twoim ziemkiem, masz stanąć w obronie bandyty. Biskup krakowski, patrząc z wyżyn ideału chrześcijańskiego na to straszliwe wykolejenie się człowieka, żąda, aby kodeks, który ma

moc w stosunkach między jednostkami, obowiązywał dla szerszych zbiorowisk ludzkich. Nakaz: „nie kradnij!” nie może mieć dwójakiego sensu. Osobliwa cywilizacja, która woła „nie kradnij!” i „kradnij!” — która tworzy potworne katechizmy podwójnej moralności, która bezprawie czyni w pewnych warunkach prawem, która zbrodnię, spełnioną przez człowieka na człowieku, wlecze pod topór katowski, a zbiorowo przez naród na narodzie popełnioną ujmuje w chytre teorje i wielbi, musi świat perjodycznie zamieniać w rzeźnię. Ta cywilizacja będzie zniszczona, albo człowiek stanie się bestją, która śpi na sprzężonych łózkach i posługuje się telefonem.<sup>1)</sup>

4 lipca 1915.

Szowiniści całego świata trudnią się teraz gorliwie wymiataniem ze swoich narodowych dziedzińców wszystkiego, co obce. Instytucje naukowe angielskie wymiatają np. swoich członków honorowych Niemców, niemieckie nawzajem wymiatają Anglików, to samo w różnych kombinacjach czynią Włosi i Francuzi, i tak poszczególne przegródki Europy oczyszczają się z obcych „naleciałości”. Obecnie szowiniści niemieccy, wymiółszy już szczęśliwie różne rzeczy, zabierają się z kolei do alfabetu łacińskiego. Niewinna ta i zdawałoby się, dostatecznie umiędzynarodowiona pozostałość po starej Romie, w której nie było ani D'Annunzia, ani Salandry, staje się „wrogiem narodowym”. Litery łacińskie są niepatryjotyczne. Ktoś dowiódł, że Bismarek czuł do nich wstręt nieprzewyciężony i skarżył się, że przeczytanie jednej strony tego pisma kosztuje go osiemdziesiąt minut czasu. Ktoś inny zdobył cenną wiadomość, że już nieboszczka matka Goethego rzekła, iż spiczasty gotyk najlepiej wydatnia treść duszy niemieckiej. Jest zatem obowiązkiem każdego dobrze myślącego patryjoty ściagać litery łacińskie, a w wyłączonej estymie chować znaczki gotyckie, pochodzące także — od łaciny.<sup>2)</sup>

<sup>1)</sup> Cały ten ustęp skreśliła cenzura.

<sup>2)</sup> Całość skreślona była przez cenzurę.

Mieszkaniec innej planety, patrzący z góry na „wielkie idee“ i „wielkie namietności“, wstrząsające łonem naszego czcigodnego kontynentu, mógłby w tej chwili z niepokojem zawołać: „Quo vadis, Europa?!“

11 sierpnia 1915.

Tygodnik „Polen“<sup>1)</sup> postępuje się zupełnie oryginalnymi metodami działania. Pragnie on przekonać czytelników niemieckich, że opinia polityczna Królestwa Polskiego nie jest rusofilską i w tym celu pisze ciągle, uporczywie, do znudzenia o — rusofilach. W ostatnim zeszycie znowu oglądamy próbkę tej metody.

„Polen“ zastanawia się gruntownie nad działalnością poszczególnych grup „rusofilskich“, aby dojść wreszcie do konkluzji, że właściwie — nie było o czem mówić. Polska Partja Postępowa i Polski Związek Postępowy, które utworzyły wspólny „Komitet demokratyczny“, „ani nie wywierają wpływu, ani nie rozwijają żadnej działalności“: żywotność ich ogranicza się do artykułów Świętochowskiego w „Humanisście“. (Dodajmy tu, że Polska Partja Postępowa „P. P. P.“, jak opowiadają wtajemniczeni, jest nietylko stronnictwem trzech liter, ale i trzech członków). Co się tyczy demokratów narodowych, przywódcy ich „nie biorą udziału w żadnej akcji“ i zajmują „stanowisko wyczekujące“, a przytem ogół stronnictwa „nie chce iść za przywódcami. Demokracja narodowa urządziła się w ten sposób, że „zostawiła pole działania hr. Wielopolskiemu, który jeszcze zawsze wierzy w możliwość porozumienia się z rządem rosyjskim“. Ale o dziwo, nawet hr. Wielopolski pomimo tej wiary, jest „nicht-russophil“.

Wynik przeglądu jest, jak widzimy, sensacyjnie nikły i po przeczytaniu artykułu w „Polen“ można słusznie zawołać: Gdzie są rusofile?! Postępowcy? „Nie wywierają wpływu“ Demokraci narodowi? „Nie chcą iść za przywódcami“. Przywódcy? „Wyczekują“, zdając wszystko na Wielopolskiego. Wielopolski? Wierzy, ale nie jest rusofilem. Udowodniwszy to niezbitcie, „Polen“

---

<sup>1)</sup> Organ grupy austrofilskiej.

w najbliższym zeszytcie powróci znowu — do rusofilów. Będziemy w dalszych zeszytach trzydziestu czytali rozstrzelonym dru- „Russophil“, „russophile Partei“, „polnische Russophilen“.

To musi brzmieć ciągle w uchu niemieckiego czytelnika, jeżeli mamy mu wpoić prawdę, że Królewicy nie ubóstwiają knuta.

15 sierpnia 1915.

Wychodzi w Chicago w języku angielskim pismo poświęcone sprawie polskiej. Nazywa się: „Free Poland. A semi-monthly. The truth about Poland and poeple“, co znaczy: „Wolna Polska. Dwutygodnik. Prawda o Polsce i Polakach“. Czasopismo to, wydawane przez Związek Narodowy Polski w północnej Ameryce, wzięło sobie za cel zaznajomić Anglosasów amerykańskich z naszą sprawą i przygotować tamtejszą opinię na wypadek, gdyby ta sprawa miała być rozstrzygniętą politycznie w drodze porozumień międzynarodowych. Taki cel sobie założywszy, cóż czyni „Free Poland“? Czy ku zbudowaniu Jankiesów rozpisuje się o niktzemnych zdrajcach narodu polskiego? Nie. Opowiada ona o polskich bohaterach, artystach, pisarzach. Czy wtajemnicza ich w to, które partje polskie sprzysięgły się w tej godzinie, aby zgubić ojczyznę, a które płoną do niej miłością jedynie niesfałszowaną? Nie. Mówi, że wszyscy Polacy pragną zbawienia Polski. „Fre Poland“ w barwnych i zajmujących artykułach, urozmaiconych mnóstwem pięknych ilustracji, przedstawia naród polski jako zasłużony dla ludzkości, niesłusznie zgnębiony i zdolny do życia samoistnego. Zapewnia przytem Jankiesów, że dopóki ten liczny i anormalność swego położenia czujący naród nie odzyska ludzkich warunków bytu, dopóty będzie tworzył ciągły i dla pokoju powszechnego niebezpieczny ferment na tym punkcie globu, na którym osadziła go Opatrzność. W ten sposób spełnia swoje zadania „Free Poland“, czasopismo założone dla popierania sprawy polskiej wobec opinji obcej a wydawane w Ameryce. Wychodząc w antypodach, nie dziwnego, że w stosunku do metod, praktykowanych u nas, ujmuje rzecz poniekąd do góry nogami.

21 maja 1916.

Sędziwa Europa zadyszała się wprost od niepohamowanej żądy sprawiedliwości. Na prawo i lewo, gdzie tylko spojrzeć: sprawiedliwość. Minister Grey np. złożył pewnemu sprawozdawcy z antypodów następujący bukiet wyznań: „Nikt nie pragnie pokoju bardziej, niż my, lecz pragniemy pokoju, któryby stworzył sprawiedliwość i przywrócił poszanowanie prawa międzynarodowego“. (Rzecz dziwna, że wszyscy takiego pokoju pragną, a wojna wciąż trwa). Jednym tchem mówił lord Grey o sprawiedliwości i o — przywróceniu(!) „poszanowania prawa międzynarodowego“, tego poszanowania zatem, którego wyrazem były przedwojenne stosunki nad Wisłą. Wiele prawil o anomalji panowania jednego narodu nad drugim i bardzo wiele o — Czarnogórze.

Obłuda?! Coś w tym rodzaju.

Musimy sobie uprzytomnić, że z djałogów o sprawiedliwości, towarzyszących ofenzywom i defenzywom obecnym, nie wyniknie żadna zgoła sprawiedliwość. Dla podobnych romanśów nie prowadzi się wojen w XX w. ery chrześcijańskiej, cokolwiekby ten lub ów wysoko postawiony dżentelmen naopowiadał korespondentom z antypodów. Jeżeli sprawa polska, jak z dużem prawdopodobieństwem można przypuścić, wyjdzie z zawiłkań terażniejszych z zyskiem, którego wymiaru i kształtu nikt z nas nie zdoła dziś przewidzieć, to stanie się to automatycznie — pomimo gwałtownej żądy sprawiedliwości, jaką objawiają rozmowni mężowie stanu. Łatwiej niż kiedykolwiek może wyniknąć niezamącona żadnym sentymentem kłopotliwa polska reszta z międzynarodowego poplątania się pozycyj „ma“ i „winien“, nad których uporządkowaniem biedzi się Europejczyk głodny w rowie strzeleckim i Europejczyk syty w krześle ministerjalnem. Pewnem jest jednak już dziś, że rachunki narodów ujarzmionych, którym krokodylą lżę poświęcił szlachetny syn Albionu, załatwione ani gruntownie, ani w przybliżeniu nie będą. Za pewien czas tedy ludzkość spławi znowu we krwi swoje „najświętsze dobra“. Nie wiemy, czy wojna jest lub nie jest zjawiskiem nieuniknionem, nie wiemy, czy w dalekiej przy-

słości jakieś inne problemy nie wykażą wobec rodzaju ludzkiego również własności czerwonej chusty z cyrku, ale to wiemy z pewnością, że każdy dalszy pokój okaże się kruchym jak szkło i jak enota dyplomaty, dopóki prawa narodów do stania o sobie będą okolicznościowym przedmiotem — deklaracji lordów.

31 maja 1916.

Krótkotrwała republika irlandzka zostawiła po sobie, prócz gruzów ostrzeliwanych miast, także smętną pamiątkę w postaci przygotowanego naprzód zapasu znaczków pocztowych z napisem: „Boże, zbaw Irlandję”, w oryginale: „God save Ireland!“ Irlandzkie to hasło, wypowiedziane przez dzieci uciemięzonego Erinu w języku angielskim, w języku swoich ciemiężców, brzmi jak najjaskrawsze szyderstwo z wszelkiej polityki wynaradawiania. Anglja zdołała odebrać Irlandczykom dobro tak ważne i cechę tak istotną, jak język ojczysty. W r. 1861 mówiło irlandzko-celtyckiem narzeczem jeszcze półtora miliona ludzi, w r. 1871 już tylko 817.875, obecnie zaledwie pół miliona, t. j. około 12% całego zaludnienia wyspy, przyczem nawet trzecia część nie przypada na młodzież poniżej 20 roku życia. Stary język Irów stopniał i mimo wysiłków zachowania go niknie z pokolenia na pokolenie: stał się językiem szczątkowym, utrzymuje się jeszcze tylko w ustronnych okolicach górskich. Irlandczycy nauczyli się mówić po angielsku. I w języku angielskim wypowiadają swoją nienawiść do — Anglji, w języku angielskim śpiewali świeżo w Dublinie swą pieśń bojową w walce przeciw — Anglji, w języku angielskim proszą: „God save Ireland!“ Najbujniejsza wyobraźnia nie mogłaby wymyśleć krwawszej satyry na chirurgów, wycinających języki narodom.

11 października 1916.

Gdy stracony w Londynie przywódca powstania irlandzkiego Casement skonał był na szubienicy, odezwały się wśród tłumu zebranego przed gmachem więziennym podobno — oklaski, a równocześnie — spazm płaczu. Jakież kobiety irlandzkie

na ulicy z szlochem rzuciły się na kolana, składając ręce do modlitwy. Dla jednych w tłumie był stracony człowiek zbrodniarzem, dla drugich bohaterem. Życie polityczne wogóle, a zwłaszcza to, które toczy się za rydwanem wojny obecnej, dostarcza więcej przykładów takiej potwornie dzikiej dwoistości: znajdziemy ją wszędzie tam, gdzie zachodzi tragiczny konflikt dwu niekryjących się ze sobą pojęć — państwo i naród. Zapewne nie ma, maluje dobitniej barbarzyńskiego poziomu stosunków międzynarodowych w Europie, niż ten moralny chaos, w którym ten sam człowiek może być piętnowany jako zbrodniarz i czczony jak święty.

6 stycznia 1917.

Wobec aktualności, na jaką sobie zapracowała Rumunja, pewien filolog wyjaśnia czytelnikom telegramów wojennych tajniki języka rumuńskiego. Wiadomo, że język ten powstał na podłożu rzymskiej kolonizacji okolic naddunajskich i jest rodzajem żargonu łacińskiego. Ale dużo w nim również pierwiastków słowiańskich, gdyż Ruś i Polska sięgały tu także swymi wpływami. Wykształcone koła rumuńskie trzebią te naleciałości i na ich miejsce wtykają słówka wyjęte ze słownika łacińskiego, chcąc przynajmniej tak upodobnić się do władców starej Romy. Jednakże niektóre wtręty słowiańskie nie dadzą się usunąć jako zbyt wkorzenione, a dodajmy, że nieraz zasługują na zakonserwowanie dzięki swej przedziwnej trafności. Do takich słowiańskich pożyczek językowych należy między innymi wyraz: wojna. Brzmi on ze słowiańska po rumuńsku — „r o z b o j“.

6 czerwca 1917.

Towarzystwo dla badania społecznych skutków wojny w Kopenhadze podaje na podstawie żmudnych obliczeń w przybliżeniu bilans strat materialnych, jakie państwa wojujące poniosły w ciągu trzechletniego blisko trwania wojny. Cyfry tego bilansu są potworne. Koszta wojenne wszystkich zapaśników, wyrażające się w pożyczkach państwowych, wyniosły za ubiegłe trzechlecie zawrotną sumę 350 miliardów marek. Padło lub

zginęło od chorób siedm miljonów ludzi. Raunych było siedmnaście miljonów. Inwalidów pozostanie pięć miljonów. Gdyby poległych w obecnej wojnie ustawić w kondukt pogrzebowy — sięgałby on od Paryża do Władystoku. Gdyby energję zużyta na masowe mordy obrócić na cele produkcyjne — możnaby bez mała Saharę zamienić w kwitnący ogród. Obliczenia instytucji kopenhaskiej ilustrują znakomicie praktyczną wartość idei przewodnich starej Europy, tej Europy, która przed laty stu zniszczyła Polskę, jako „niezdolną do życia“.

16 października 1917.

Świeżo ukazał się w Warszawie nowy przekład książki małej rozmiarami a wielkiej wpływem wywartym na myśl polityczną Europy, książki, która była przez wieki katechizmem władców i podręcznikiem ministrów, słowem — Machiavellowskiego „Il Principe“. Pojawiła się akurat w chwili, gdy zasady florentyńskiego statysty, przeszedłszy przez tysiąc poprawek, uzupełnień i przystosowań do zmienionych warunków, zdają olbrzymi egzamin praktycznej wartości na wszystkich pobożowskich świata. Z kart doskonałego przekładu p. Wincentego Rzymowskiego szczerzą się nieśmiertelne wskazania chytręgo włoskiego dyplomaty, wypowiedziane Cezarowi Borgji:

„Książę rozumny nie krępuje się danem przyrzeczeniem i zawsze znajdzie przyczynę do ubarwienia wiarołomstwa“. „Lepiej jest odrazu srogo karać, niżeli przez niewczesne pობłażanie dopuścić do rozruchów“. „Za drobne krzywdy ludzie się mszczą, ale za wielkie nie mogą, dlatego krzywda powinna być tego rodzaju, aby się po niej nie lękać zemsty“. „Zniszczenie — oto najskuteczniejszy środek utrwalenia panowania w zdobytym kraju“. I tak dalej i tak dalej. Doskonałe te zasady zaczynają snąć nagle bankrutować. O nadwątlonej ich skuteczności mógłby powiedzieć cokolwiek najprzykładniejszy z wyznawców florentyńskiego katechizmu car Mikołaj Ostatni, którego enoty „Książęcia“ zaprowadziły do cichej ustroni pod Tobolskiem.

7 listopada 1917.

Literatura i tradycja przekazały nam poczeiwy typ Niemca z połowy XIX wieku, Niemca-idealisty, który umiał wznosić się na wyżyny altruizmu, Niemca-romantyka, który zapalał się do najszczytniejszych ideałów ludzkich. W życiu codziennem wypowiedział się był charakterystyczną maksymą: „leben und leben lassen“, na szczytach — wydał z siebie twórczość Koernera, Leana, Plattena, Uhlanda, Herwegha i całej plejady piewców wolności, którzy nienajmniejszą cząstkę swych natchnień poświęcili byli sławieniu buntowniczej Polski.

Pokolenie nasze słucha opowieści o owym romantycznym Niemcu, jak bajki o żelaznym wilku. Więc cóż się z nim stało właściwie?

Znikł w przeciągu jednego, ale za to wielkiego roku 1870.

Polacy, którzy ów pamiętny rok przeżyli w Niemczech, opowiadają, że metamorfoza odbyła się poprostu w oczach. W pierwszych tygodniach wojny żyły jeszcze w przeciętnym typie niemieckim wszystkie te tradycyjne rysy, które czyniły go bliskim pozostałej rodzinie ludów. Potem zaczęło się z nim dzieć coś niesamowitego. Zbliżał się dzień Sedanu. Tryumfalne „hurra.“ Oszołomienie. Duma bezbrzeżna. Namacalnie czuło się z każdą godziną przyływ twardej i wyzywającej pewności siebie. Po wzięciu Paryża stał już na widowni w całym swym ponurym blasku typ niemal dzisiejszy.

Wielkie wstrząśnienie dziejowe przeistoczyło wtedy duszę Niemiec.

Dziś opasana żelazną obręczą wrogów, wyzwana do boju przez cały świat, przeżywa ona rzeczy, wobec których niewinną igraszką wydaje się rok 1870. Na podstawie uczynionego już doświadczenia należy oczekiwać, że przeżycia te wyżłobią w psychice niemieckiego narodu znowu głębokie i długotrwałe zmiany. Jakie? To w rękę Boga. Ale „sanabiles feait Deus nationes“.

13 listopada 1917.

Autorowie hakatystycznej petycji, która ma wpłynąć niebawem do sejmu pruskiego, domagając się utrzymania dotych-

czasowej polityki rządu „na kresach wschodnich“, twierdzą, że bez dalszej pomocy ze strony państwa, bez stosowania ustaw wyjątkowych i bez kolonizacji, niemczyzna tamtejsza niechybnie zginie. Ileż razy słyszeliśmy, że co nie może ostać się o własnych siłach, powinno zejść z drogi! Jeżeli z ust tak autorytatywnych dowiadujemy się, że w warunkach swobodnej gry sił, bez państwowego systemu protekcyjnego, niemczyzna „na kresach wschodnich“ musiałaby uleść naporowi polskiego żywiołu, to któż ma tam istotne prawa do życia?

25 listopada 1917.

Prasa, donosząc, że na skutek deklaracji piotrogrodzkiego rządu rewolucyjnego o prawach narodów Finlandja, Ukraina i inne kraje obcoplemienne ogłoszą lub ogłosiły już swą niezawisłość, nazywa to „rozkładem Rosji“. Nie imperjalizmu rosyjskiego, lecz wyraźnie — Rosji. W życiu codziennem gdy rabuś zwraca dobrowolnie łup, wydarty prawowitemu posiadaczowi, nikt nie wątpi, że złoczyńca jest na drodze do odrodzenia. W życiu międzynarodowem takie samo zjawisko uchodzi za „rozkład“. Naród, który wyzbywa się nieprawych zdobyczy, który nie chce spełniać funkcji dozorecy więziennego, lecz pragnie być członkiem społeczeństwa wolnych narodów, taki naród według utartych pojęć rozkłada się“. Do takiego zwyrodnienia i odwrócenia pojęć moralnych na wspak doprowadziła długoletnia pedagogia „siły przed prawem“, wstydliwie zamaskowana lub bezwstydnie jawna, a dziś na szczęście dla rodzaju ludzkiego pozynająca zwolna wchodzić w okres zdecydowanego bankructwa.

18 grudnia 1917.

Pewni bakałarze polityczni, którzy chcieliby nas do końca świata prowadzić za rękę i nie mogą oswoić się z faktem, że Polska skutkiem wojny światowej ma otrzymać — pełnoletniość, raz po raz bryzgają nam w oczy przypomnieniami prawdziwych i mniemanych niedomagań dawnego naszego bytu państwowego. Świeżo znowu pewien statysta berliński wykopał z grobu „nieokiełznaną swawolę“ polską z czasów Rzeczypospolitej. Schylamy

czoło przed tym zarzutem. Tak. U nas była swawola, więc przerost — wolności. A u was? Był również przerost, tylko w odwrotnym kierunku: Przerost władzy, despotyzm. U nas — nadużycie swobód, u was — nadużycie więzów. My nie umieliśmy zachować miary w nieskrępowaniu jednostki. Wy przekroczyliście ją w potulnym uleganiu pięści, w niewolniczym respektowaniu bata.

Czem tu tak bardzo imponować?

16 kwietnia 1918.

Pruski minister Eisenhard-Rothe, przemawiając w izbie panów na temat przyszłego ukształtowania wschodnich granic, rzekł: „Musimy domagać się, aby układy w tej sprawie były prowadzone od rządu do rządu i ażeby nie mieszał się do tego nikt, a w szczególności żaden parlamentarzyista“. W tem miejscu protokół obrad zanotował: oklaski.

Cała otchłań duszy zbiorowej wypowiedziała się w tej krótkiej manifestacji.

9 czerwca 1918.

Nacjonalizm jest psychozą najniebezpieczniejszą ze wszystkich, jakie dotychczas ludzkość przeżywała, sprowadza bowiem ze sobą oprócz zdziczenia także zidjocenie.

Serce narodu niemieckiego zabiło w tych dniach dotkliwym bólem na wiadomość, że w poznańskim miasteczku Wągrówcu pewien Niemiec sprzedał pewnemu Polakowi dobrze rentującą się gospodę i skład kolonialny. Dokoła tego faktu uczynił żałobną wrzawę „Posener Tageblatt“, kwalifikując go dosłownie jako „wielki cios dla Niemców“. Ten straszny wypadek w życiu Niemiec jest zjawiskiem jeszcze straszniejszym z punktu widzenia higieny mózgu zbiorowego wogóle. My, Polacy, chcemy zachować spokojnie własną duszę narodową, w przekonaniu, że jest ona więcej warta od tej, jaką nam usiłują narzucić. Aby obronić tę idealną wartość, trzeba mieć do rozporządzenia odpowiednie materialne zasoby. Te jednak są również atakowane. Chcąc niemi dysponować, musimy zejść na poziom

narzuconej nam walki o — zajazdy i składy kolonialne, i w walce tej lokować niemalą część naszej energii. W splocie stosunków polsko-niemieckich jest to moment nie najmniej tragiczny. Zarówno dla nas, jak dla znacznej części Europy, której pod wpływem kultury nacjonalizmu grozi całkowite rozluźnienie się pięciu niezbędnych klepek.

25 lipca 1918.

Junkier pruski z Pomorza, nazwiskiem von Oertzen, kazał pewnego pracującego u siebie jeńca Polaka rozebrać do naga, przywiązać powrozami do drzewa i siekł różgą, póki nie spłynęła krew. Za czyn ów zostało to bydło w ludzkiej skórze skazane przez sąd karny w Roztoku na dwa miesiące więzienia. Obecnie, jak donosi „Vorwärts“ berliński, tknęta współczuciem pewna pruska „wyższa instancja“ ułaskawiła von Oertzena, skracając jego cierpienia do trzech tylko tygodni fortocy. Dzięki temu oprawca pomorski już wyszedł na świeże powietrze. Albowiem:

„Walczymy po stronie światopoglądu prawa, sprawiedliwości i obyczajności“.<sup>1)</sup>

28 lipca 1918.

„Jednostka, to rzecz pierwsza, państwo — druga dopiero“, rzekł świeżo w sejmie pruskim ks. poseł Styczyński. W tem lapidarnie ujętem zagadnieniu tkwi rdzeń różnicy między Polską a Niemcami, podobnie także, jak między Niemcami i światem romańskim czy anglo-saskim. Zbiorowemu życiu polskiemu daje sens i piętno kultura jednostki, życiu niemieckiemu — kult państwa, ubóstwienie maszyny. Najjaskrawsza „wszechpolska“ manifestacja nie mogłaby dobitniej zaświadczyć, żeśmy po stu latach należenia do pruskiego państwa i wychowania przez pruską szkołę zachowali odrębność naszej istoty, jak to proste wyznanie wiary polskiego posła, iż „jednostka — rzecz pierwsza, państwo — druga dopiero“.

<sup>1)</sup> Słowa Wilhelma II.

25 października 1918.

Koalicja nie może ciągle jeszcze uwierzyć w szczerość nagłego demokratyzowania się Niemiec Wilhelma II. I trudno temu sceptycyzmowi odmówić racji. Wśród narodów cywilizowanych niema bodaj drugiego, któryby tak chętnie uznawał nad sobą władzę nieodpowiedzialną, jak społeczeństwo niemieckie. Nawet Moskale okazali się pod tym względem niecierpliwi. Poseł do parlamentu berlińskiego Hoffman, socjalista z mniejszości, powiedział niedawno o swych rodakach z pogardą, że są „narodem niewolniczym“. Słowa te brzmiące jak policzek, potwierdził świeżo w łagodniejszej formie nowy kanclerz rzeszy, mówiąc: „Wprawdzie naród niemiecki posiadał już oddawna szereg praw politycznych, lecz nie robił z tych praw użytku. Nie chodziło tu o samowolę ze strony władzy, lecz o brak woli politycznej ze strony narodu“..

„Brak woli“, aby sobą rozporządzać: to już chyba najdoskonalsza postać niewolnictwa — z przekonania.

26 października 1918.

Zagrożeni oddaniem cudzej własności, chwytają się Prusacy najdziwaczniejszych i najbardziej niespodziewanych łamańców logicznych, aby osłabić „polskie pretensje“. „Berliner Tageblatt“ przysięgając, że nowe Niemcy nie odmówią Polakom, jako prusko-niemieckim obywatelom, najszerszej autonomji kulturalnej, ryzykuje porównanie, że jak powstające państwo polskie zwróciło się było słusznie przeciw niemieckim zapędom aneksyjnym, tak samo Niemcy mogą żądać, aby młode państwo nasze nie rozpoczynało swej egzystencji od zaborezych uroszczeń. „Tak samo“. W dwóch słowach tych mieści się cała nieuleczalność prusko-niemieckiego obłądu, który z przyrodniczą koniecznością wlecze ten wielki naród do katastrofy. Jeśli państwo pruskie, dławiąc się jeszcze tem, co zagrabiło nam przed stu laty, wyciągało niedawno macki po zagłębie dąbrowskie, po Kalisz i Łomżę i jeżeli zmartwychwstająca Polska zgłasza swe prawa po Gniezno — to jest to „to samo“. „Berliner Tageblatt“ jest organem liberałów, którzy przeciwstawiali się zawsze dra-

pieznemu nacjonalizmowi Wszechniemców. Daje to pojęcie, jak tragicznie ciężką będzie dla narodu niemieckiego praca przeuczenia się z pruskiego światopoglądu na światopogląd reszty ludzkości...

27 października 1918.

„Fränkische Tagespost“ w artykule, który obiegł połowę prasy niemieckiej, stwierdza o Wilhelmie II dosłownie: „On to, ostatni władca wojskowy Niemiec, rozpałił największą z wojen, która się kończy złamaniem systemu militarnego“...

Niemcy długo przeczyli, jakoby pożoga ta była ich dziełem, o co cały świat ich jednozgodnie oskarżał. Obecnie przyznają się. „Fränkische Tagespost“ umiejscowiła nawet autorstwo wojny dokładnie w osobie Wilhelma II. On winien.

Ale któż zechce dziś w obliczu dokonywujących się pod wpływem katastrofy wojennej olbrzymich i wspaniałych przemian rzucić kamieniem na tego, który pośrednio je wywołał? Wilhelm II, jako sprawca odradzającej burzy, co przeciąga nad Europą, zasługuje raczej, aby mu lano posągi — choćby wbrew jego woli.

Był on niezbędnym szczeblem, po którym na widnokrąg ludzkości mógł wstąpić Wilson.

30 października 1918.

Hindenburg walczy obecnie telegramami. Wszechniemiecka „Tägliche Rundschau“ ogłosiła właśnie jeden z takich telegramów, w którym marszałek, gruntownie rozprawiwszy się na papierze z Wilsonem i całą koalicją, zapewnia z ogromnym tupetem, że armia i flota niemiecka ogarnięte są wciąż jednokowym zapałem bojowym i nie myślą absolutnie o niczem innym, jak tylko, aby bić się „do ostatniej kropli krwi“. Krwawy starzec z nad bagien mazurskich szafuje dziwnie łatwo tą „ostatnią kroplą“ — nie swoją. Sam bowiem, po normalnie spożytym obiedzie, paląc wonne cygaro, może tylko trochę znużony niespokojnie spędzoną nocą, ani myśli o wysączeniu za pruską ojczyznę choćby pierwszej kropli swej drogoceńszej krwi. Woli bohaterstwo bezpieczne: cudzym kosztem.

31 października 1918.

Opowiadają, że cesarz Wilhelm II., którego trapi silny rozstrój nerwów, ma chwile, w których chciałby stanąć na czele któregoś ze swoich pułków, rzucić się w wir bitwy i umrzeć bohaterską śmiercią. Bezpośrednią przyczyną tego zdesperowania jest fakt, że nikt nie stanął w obronie cesarza w sejmie Rzeszy niemieckiej, gdy rozprawiano tam nad jego abdykacją. Ponieważ bolszewicy ogłosili niedawno list Wilhelma do zmarłego cara Mikołaja, pisany przed laty, a w którym serenissimus berliński objawiał przyjacielowi swój pogląd na wartość niemieckich przedstawicieli ludu w ten sposób, że „najchętniej by tę hołotę wywieszał“, zachodziło podejrzenie, iż obecny, niezbyt ciepły nastrój parlamentu podczas rozprawy o abdykacji należy odnieść przyczynowo do treści owego poufnego zwierzenia. Podejrzenie to okazało się atoli zupełnie nieuzasadnionem. Właśnie bowiem donoszą z Berlina, że podczas świeżych obrad komisji międzypartyjnej o istnieniu lub nieistnieniu podstaw do przesilenia dynastycznego, ani jedna grupa poselska nie oświadczyła się stanowczo za ustąpieniem choćby tylko szefa domu Hohenzollernów. Parlament, który cesarz Wilhelm pragnął wywieszać, stoi jak mur przy jego uswięconej osobie.

3 listopada 1918.

Odpadnięcie sprzymierzeńca austro-węgierskiego i świadomość, że teraz już stoją Niemcy dosłownie same wobec reszty tryumfującego świata, wywołało w społeczeństwie niemieckiem nieopisaną panikę. Uleciał ostatni szczątek pewności siebie, jaki do niedawna jeszcze cechował butnych rabusiów. W prasie berlińskiej, która komentuje odpadnięcie i rozkład Austro-Węgier, czuć szczękający zębami strach przed zbliżającym się dniem sądu. Organ kanclerski „Norddeutsche Allg. Ztg.“ woła rozpaczliwie o wytrwanie w obecnym pasie obronnym na zachodzie, „Armia jest dziś narodem, oficer jego przywódcą“.... wyrывa się ze zbiegających warg półurzędowego organu. Ach, czyż nie dlatego właśnie ginie ta błyszcząca, świetna, wytreso-

wana, jedyna na świecie organizacja, że mógł jej mieścić się pod czapką grenadjera?

5 listopada 1918.

Istnieje tuż pod Berlinem gmina o nazwie słowiańskiej, prawie polskiej — „Nowa Wes“. Na ostatnim zebraniu Rady gminnej tej podberlińskiej Nowej Wsi jeden z członków Rady wystąpił z wnioskiem, by dotychczasową słowiańską nazwę zmienić na Neudorf. Wniosek atoli upadł. Zaoponowali przeciw niemu inni ojcowie gminy, rozumiejąc, że w takim razie należałoby postąpić podobnie ze zbyt wielu miejscowościami tuż pod Berlinem o wyraźnie słowiańskim pochodzeniu, jak Trep-tow, Pankow, Strelsin, Glindow i t. d. Dodajmy, że w dalszej konsekwencji trzebaby przechrzczyć całą Brandenburgję, a w jeszcze dalszej połowę dzisiejszych Niemiec, które są cementarzy-skiem zachodniej Słowiańszczyzny, ogniem i mieczem podbitej. Dyskusja w małej gminie podberlińskiej wypadła jednak w sa-mą porę. Uwydatniła ona cynizm narodu, który urósłszy na gruzach tysięcy słowiańskich „Nowych Wsi“ nad Łabą i Spre-wą, ma czelność windykować dla siebie jako prawną własność i te „Nowe Wsi“ nad Odrą, Wartą i Wisłą, w których Bogu dzięki nie zamilkł dotąd dźwięk polskiej mowy.

9 listopada 1918.

Prasa berlińska zamieszcza nader charakterystyczne wy-nurzenia Niemców poznańskich, pokryte tysiącami podpisów. Panowie ci oświadczają: „Życzymy sobie z całego serca żyć z naszymi polskimi sąsiadami i współobywatelami w pokoju i zgodzie. Godzimy się również stanowczo na to, ażeby prawa, które Polacy odczuwają jako uciążliwe dla siebie, zostały znie-sione, o ile na to pozwolą konieczności państwowe“. W chwili, gdy posłowie Rzeszy wędł włośienicy i z powrozem na szyi piel-grzymują przed oblicze Focha, a bunt wewnętrzny rozsadza twierdzą prusaictwa, Niemcy ofiarowują nam zniesienie ustaw wyjątkowych, z zastrzeżeniem, że się ono da pogodzić z „ko-niecznościami“ cielska, od którego bije woń trupia. To się na-zywa dopiero humor szubieniczny.

13 listopada 1918.

„Mimo wszystko — pomyślał sobie Wilhelm Drugi i Ostatni — życie jest piękne“. I zamiast, jak groził pod wpływem chwilowego upadku ducha, rzucić się w zamęt bitwy na czele swej bohaterskiej gwardji, by zginąć romantycznie od kuli — kazał poprostu spakować kufry, wsiadł w samochód i pospiesznie odjechał do Holandji.

16 listopada 1918.

Kobiety niemieckie zwróciły się do pani Wilsonowej z błagalną prośbą, aby spróbowała wyjednać u męża złagodzenie podyktowanych Niemcom twardych warunków zawieszenia broni, które grożą zupełnem jakoby zniszczeniem niemieckiego narodu. Podobny apel o litość i o interwencję wysłały Niemki do kobiet francuskich, angielskich, włoskich, belgijskich i t. d. Przed głosem tym, wołającym miłosierdzia i odzywającym się do uczuć ludzkich, trzeba uchylić głowy. Ale zapytać trzeba: Gdzie były te same kobiety niemieckie, kiedy upojone zwycięstwami militarnemi Prusy układały swe słynne warunki pokojowe, równające się rzuceniu całego świata pod nogi Hohenzollernów? Gdzie były, kiedy ich synowie, mężowie i bracia tratowali ziemie obcych narodów, paląc, niszcząc, rabując, kradnąc i biorąc w jasyr? Gdzie były także, gdy bat pruskiego nauczyciela katował niewinne maleństwa nasze, chcące modlić się ojczystym pacierzem? Dlaczego wówczas nie wiedziały nic o miłosierdziu te same kobiety niemieckie? Odpowiedź prosta: Gdyż to one przecież urodziły Prusaków!

## JAN CHRZCICIEL.

Wreszcie i to przyszło: poemat o fabrykacji karabinów. Nie zdziwimy się bynajmniej, dowiedziawszy się, że ta nowoczesna pieśń nad pieśniami zrodziła się w natchnionym mózgu niemieckiego poety ze Styryji, Rudolfa Bartscha. Mamy zatem nowy dreszczyk literacki. I mamy też obiecujący przedsmak wzruszeń duchowych, jakie może przynieść najbliższym pokoleniom tryumfująca kultura XX wieku. Wzgardziwszy karmelkowemi wierszami Schillera, Alfreda Musseta, czy Słowackiego, dziewica XX wieku, przyciskając białe ręce do drżącego łona, powtarzać będzie za Rudolfem Bartschem:

„Fabryka broni! Regularnie jak uderzenia pulsu, spadają młoty i grzmią tak silnie, że trzeba krzyzczeć, gdy człowiek chce coś powiedzieć. Żelazo kowalne daje wysmukłe, żółte płomienie, stal bogata w węgiel rozpryskuje się w gwiazdki, jak rakietą, stal o zawartości niklu tworzy bryłki, które długo się żarzą. Z grzmiących i ziejących ogniem hal wchodzi się do cichej sali, gdzie słycać tylko brzęczenie. Tu przewierca się lufy karabinowe, piękne lufy, bły-

szczące wewnątrz, jak zwierciadła, z delikatnymi gwintami, które pewną śmierć tają w sobie...“ . „O, znam i kocham od dziecka stal, oraz smukłe karabiny! Wiem, jak się toczy lufy, jak się odkuwa stal sprężynową, jak mniej wartościowa ciągliwa stal Bessemera bywa przerabiana na obojętne okucie kolb i stęka we formie...“ .

Podobnie mniej więcej, jak owa stal, stęka i pieśń Rudolfa Bartscha przez dalszych dobrych kilkaset wierszy.

Pieśń wieszca ze Styrii, prócz tematu samego, przynosi jeszcze inną nowość twórczą. Oto bardziej natchnione strofy, opatrzone są przypiskami w rodzaju: „Żelazo kowalne zawiera 0.04 do 0.6% węgla, zaś surowe 2 do 7% ; lub też: „Stal Bessemera jestto fabrykat z płynnego żelaza“, albo: „Pewne dodatki do stali, jak niklu, chromu i magnanu, dają jej wytrzymałość, twardość i ciągliwość“. Przypiski te wzmacniają nastrój.

„Ach, gdybym mógł tak samo rozplomienić słuchacza, jak mnie rozplomienilo to życie fabryki broni!“, woła piewca germański, rozplomieniony widokiem smukłych luf, błyszczących wewnątrz jak zwierciadło, pod czarem delikatnych gwintów, które „pewną śmierć w sobie tają“. I smutek zniechęcenia, żal, spowily duszę wieszca, kiedy przyszło mu wrócić do błękitu nieba od stropów kuźni, rodzącej karabiny wśród iskier i płomieni. „Wychodziłem niechętnie — zdawało się, jakbym opuszczał strony rodzinne! Nie

dziwne to! Nie dziwne! Alboż nie wahałem się za młodu, czem zostać: poetą czy technikiem broni?“

Skromnym człowiekiem jest Rudolf Bartsch. Ani domyśla się, że rzeczywistość wznosi go o wiele wyżej, niż marzenia młodzieńcze. Jako fabrykant broni byłby może zbyt poetą, jako poeta, odznacza się polotem zbyt fabrycznym, ale w skojarzeniu obu tych dziedzin, ten niepokąźny człowiek urasta do wyżyn symbolu: ma w sobie coś z Jana Chrzciciela nadchodzącej kultury duchowej Europy...<sup>1)</sup>

1915

## MY I KULTURA ZACHODNIA.

Od jakiegoś czasu czytelnicy niektórych pism naszych, a także czytelnicy pism polskich, wydawanych dla oświecania opinii niemieckiej,<sup>2)</sup> częstowani są aż do uprzykrzenia ustawicznymi zapewnieniami, że my Polacy, zależymy od kultury zachodniej, że wszystkie nasze dobra duchowe czerpaliśmy, czerpiemy i czerpać będziemy z zachodnich źródeł, że tylko z zachodem czujemy się zjednoczeni, a nic zgoła nie mamy i nie chcemy mieć wspólnego ze „wschodem barbarzyńskim“. Czytając niektóre organy naszej opinii,

<sup>1)</sup> Niedomówione: Europy, nad którą zaciężyłaby supremacja Niemiec.

<sup>2)</sup> Mowa o odłamie prasy — pisanej przeważnie przez żydów — która oczekiwała zwycięstwa Niemiec.

robi się aż mdło od tego ustawicznego przysięgania na naszą zachodniość. Fakt przynależności Polski do zachodu i jego kultury, jest oczywistym. W czasie ogólnej niegdyś przeprowadzki ludów, osiedliliśmy się w Europie środkowej, między Odrą i Wisłą. Ochrzczono nas w rzymskiej, nie bizantyńskiej wierze. Od łacińskich mistrzów pobieraliśmy początki nauk. Jeździliśmy po wiedzę do Bolonji, Padwy i Paryża. Zostaliśmy nawet Francuzami północy. Przeżywaliśmy romańszczyznę, gotyk, renesans, barocco i roccoco. Jest więc jasnym, jak dzień, że należymy do zachodu. Dlaczego jednak powtarzać do znudzenia tę rzecz oczywistą?

\* \* \*

Żadnemu z narodów zachodnich nie przychodzi do głowy obnosić się tak ze swoją zachodniością, jak to się czyni w tej chwili u nas. Nikt tak zapaleczywie nie bije się w piersi, przysięgając, że jest rodem z zachodu, i nikt tak gwałtownie nie odżegnywa się od jakiegokolwiek wspólności ze wschodnimi pierwiastkami kultury. Gorliwość ta mogłaby się wydać komuś podejrzaną. A w każdym razie to wykrzykiwanie na wszystkich ringach i rogach ulic, że należymy do zachodu, że z pewnością należymy do zachodu, że bezwarunkowo należymy do zachodu, <sup>1)</sup> nie zupełnie zgadza się z poczuciem własnej godności. Wszelka przesada jest niewłaściwa, jak to udowodnili pewni

<sup>1)</sup> Czytaj: razem z Niemcami. O to chodziło.

namiętni zwolennicy kultury zachodniej, całując z nabożeństwem ogony koni kozackich. <sup>1)</sup>

\* \* \*

Prowadzimy wojnę z Rosją. Rosja otrzymała swój kształt duchowy z Bizancjum, należy zatem do orientu. Z tego atoli niekoniecznie jeszcze wynika, aby należało lżyć kulturę wschodnią, jako „barbarzyńską“, jak to czynią ludzie nadmiernie gorliwi. Można być człowiekiem zachodu, a mimo to zachować spokój w ocenie wartości. Kultura wschodnia jest to pojęcie bardzo szerokie zarówno w czasie jak przestrzeni, i niezupełnie kończy się tam, gdzie stoi ostatni objezdzyk w rosyjskim mundurze. Kultura etyczna wschodu jestto między innymi buddyzm, kultura artystyczna wschodu są to budowle Jawy, Partenon i rzeźba starohelleńska i bronzы japońskie i tkaniny z Kaszmiru i „Pieśni nad pieśniami“ i natchnione strofy Hindusa uwieńczonego nagrodą Nobla, kultura naukowa wschodu są to chaldejskie początki astronomji i arabski rozkwit matematyki, kultura materialna wschodu jestto przemysł Chin, Japonji, Persji.

<sup>1)</sup> Żydzi we Lwowie, w chwili wkraczania do tego miasta wojsk moskiewskich we wrześniu 1914, symulowali gwałtowny entuzjazm wobec nowych panów. Starozakonni kupecy natychmiast ostentacyjnie wywiesili w sklepach portrety cara. Widziano kobiety żydowskie, ofiarowujące kwiaty oficerom. W ul. Trzeciego Maja podczas przemarszu zwycięzców, żydzi całowali konie kozackie. Szceny tego zapobiegawczego niewolniczego płaszczenia się, uwiecznione zostały aparatem fotograficznym. — W istocie byli żydzi i pozostali wiernymi sługami Niemiec.

Wszystkie ważniejsze dziedziny naszego życia, tkwią swemi korzeniami nie w lesie Teutoburskim ani nawet w okolicy lasu Bulońskiego, ale znacznie dalej ku wschodowi, tam właśnie, gdzie — patrząc na świat z wyżyn centralnego ogrzewania i dział czterdziesto-dwu-centymetrowych, dostrzegamy koniecznie tylko „barbarzyństwo“.

\* \* \*

Nietylko wschód mniej, lub więcej przekwity, któremu nasza „zachodnia kultura“ winna jest synowską wdzięczność, ale i współczesną „Azję“ należy z dużemi ostrożnościami przeciwstawiać takiejże „Europie“. Jeżeli wszelakie azjatyckie gwałty stały się przysłowiomami w naszej części globu, to dobrze jest nie zapominać na wszelki wypadek, że my, pławiący się w praworządności, mamy tu przecież swoje czyste zachodnie, krwią męczeńską zlane Irlandje.....<sup>1)</sup> Cywilizowany nasz zachód umie znakomicie także władać narzędziami tortury. Dlatego, chociaż należymy do zachodu i oczywisty ten fakt nie musi być przez nas udowodniany trzy razy na dzień, to jednak nie wydaje się zbyt uzasadnionem, abyśmy mieli z tytułu tej przynależności zadzierać głowy szczególnie wysoko.

1915.

---

<sup>1)</sup> Autor nie mógł (w roku 1915, pod cenzurą austriacką!) wskazać wyraźnie Prus. Pozostawił to łatwej domyślności czytelnika.

---

## UŁAN Z POD ROKITNY.

Jest coś chorego w naturze polskiej. Zdarzyło nam się czytać niedawno w zbiorowej książce, wydanej przez wychownice jednego z krakowskich zakładów naukowych, charakterystyczny utwór młodej Polki o „Grottgerowskim“ typie „ofiarnika-straceńca“, owym pamiętnym i tak powszechnym u nas w czasie powstania styczniowego, typie człowieka zrozpaczonego, który wyruszał w pole bez wiary, aby umiłowany cel mógł osiągnąć. „Zgasły dla nas nadziei promienie“, śpiewała młodzież roku 1863, a przecież szła na niesłychaną wojnę bez widoków zwycięstwa, mającą kraj wydać straszliwej zemście wroga. Zjawisko to budzi we współczesnej autorce religijny zachwyty. Wyobrażnię jej nęci mistyczny pierwiastek ofiary. Młoda dziewczyna polska widzi ideał męski w „straceńcach“. „Pięknie unrzeć!!!“

Cmentarny urok pragnienia naszych ojców poprzez nasze pokolenie przechodzi drogą tajemną na nasze dzieci. Ztąd owo charakterystyczne u nas uwielbienie dla męczeństwa, choćby takiego, co pogłębiło otchłań narodowych nieszczęść — uwielbienie dla romantycznego gestu — a chłodny, nieraz zimny stosunek do czynu szarego, lecz twórczego. Może to egzaltacja dusz wyłącznie kobiecych? Nie tylko kobiecych. W jednym z pism opowiada nasz nowy polski żołnierz, chorąży drugiego szwadronu ułanów,

o wspomniałym, heroicznym ataku konnicy polskiej pod Rokitną i o zgonie rotmistrza Dunina Wąsowicza. W niczem dobitniej, niż w huraganie szarży, nie u-zmysławia się radosne dążenie: wziąć, by posiadać. Lecz i on, ten współczesny, który idzie w bój z nadzieją osiągnięcia celu, dziedziczy złowieszcze marzenie z lasów Węgrowsa i Siemiatycz. Ułan polski, lotny jak wichur, niewstrzymany jak burza, zuchwały jak żywioł, kładzie swemu wodzowi epitafium: „Padł z szablą w dłoni i zginął bohaterską śmiercią, o jaką każdy z nas się modli...”

Ułanie zpod Rokitny! Dłaczego śniesz o tem, by umierać, nie aby zdobywać i żyć?!

1915.

## J A W A.

Wyspa Jawa, o której los niedawno obawiano się w Hadze z powodu groźących zawikłań wojennych, jest najcenniejszą posiadłością kolonialną holenderską i należy do najpiękniejszych krajów na ziemi. Posiada przy podzwrotnikowym klimacie a częstych opadach nieporównanie bogatą i bujną roślinność (słynny na cały świat ogród botaniczny w Buitenzorg), niemniej urozmaiconą faunę, pełno zabytków prastarej wspomniałej i wielkiej kultury buddyjskiej w postaci świątyń i pałaców, wreszcie inteligentną ludność, która w ojezystym swym języku wytworzyła przed wiekami już bogate piśmiennictwo. Aby dać wyobrażenie o kul-

turze Jawy, wystarczy wskazać na szczegół tak charakterystyczny, jak gęstość zaludnienia: wynosi ona tam 195 mieszkańców na kwadratowym kilometrze, gdy w Anglii przypada 145, a w Austro-Węgrzech 76. Cała wyspa liczy trzydzieści milionów tubylców i — około 80.000 Holendrów. Stosunek ten „najazdu“ do „ujarzmionych“ nasuwa przedewszystkiem myśl, że owe dziesiątki milionów mogłyby wszak zetrzeć na miał znikomą garść przybyszów. Jednakże mały lud holenderski rządzi Jawą spokojnie z dalekiej Hagi, a nieliczni przedstawiciele jego przebywają bezpiecznie wśród morza obcego żywiołu. Jako europejscy kulturtregerzy, Holendrzy przynieśli Malajczykom różne błogosławieństwa naszego kontynentu, jak: elektryczne tramwaje, koleje żelazne, telefony i telegrafy. Wychodząc atoli z przezornego założenia, że same dary te nie zdołałyby wzbudzić w malajskich wyspiarzach dość silnych uczuć holendrofilskich, mężowie stanu holenderscy uznali za wskazane zabezpieczyć panowanie swe na Jawie jeszcze i — misternie obmyślaną administracją.

Hierarchia tej administracji, idąc od szczytów ku dołowi, dzieli się na „rezydencje“, „rejencje“ „dystrykty“ i „dezy“, czyli gminy. Szczyty, nieliczne stosunkowo, zajęli europejscy „zdobywcy“. Na czele rejencji już wszakże stoją członkowie arystokratycznych rodów tubylczych i dzierżą te stanowiska na podstawie wyboru ludności. Z pośród krajowców również pochodzą kierownicy dystryktów i gmin, mianowani na wniosek regentów. To jednak dopiero połowa sy-

stemu — drugą stanowi sposób rozwiązania kwestji językowej, sposób prostotą swą zupełnie rozbijający. Oto statysci z Hagi przyjęli jako zasadę, że administracja publiczna powinna stosować się absolutnie do języka ludności, nie zaś naodwrot. I zasada ta została przeprowadzona w całej rozciągłości. Każdy Holender urzędujący na Jawie jest obowiązany znać biegle język miejscowy „w słowie i piśmie“. W języku tym władze spełniają swe urzędowanie. Mieszkaniec podbitej wyspy rodzi się, żyje i umiera, mogąc nie usłyszeć nigdy dźwięku mowy obcej. Swoboda: oto co w dodatku do telefonów i kolei żelaznych przynieśli ze sobą holenderscy kulturtregerzy. <sup>1)</sup> Stosowaniu takiego to systemu zawdzięczamy w rezultacie niezwykle zjawisko, iż garść ludzi obcego pochodzenia, nie odwołując się wcale do argumentu siły, rządzi spokojnie — trzydziestu miljonami. Niejednemu z mieszkańców Europy wyda się taka władza baśnią polityczną.

A jednak jest ona jawą — na Jawie.

1916.

---

<sup>1)</sup> W r. 1916 było dla Polaka potrzebą duszy napiętnować barbarzyństwo niemieckich kulturtregerów, których cała misja cywilizacyjna po za granicami Vaterlandu polegała na tem, aby wśród tych obcych ludów wzbudzić na pewien czas respekt dla niemieckiego knuta.

## „W ROZUMNEM OCENIENIU SIŁ“.

„W rozumnem ocenieniu stosunku sił, Szwecja (współczesna) zrezygnowała z prób odzyskania utraconych stanowisk i ograniczyła się do swego naturalnego terytorjum“, stwierdza jedno z pism, zastanawiając się nad stosunkiem skandynawskiego królestwa do stron walczących w obecnej wojnie.

Nasuwają się tu pod pióro podobieństwa i różnice zachodzące między Szwecją a Polską.

Szwecja (podobnie jak Polska) z biegiem stuleci rozszerzyła się po za właściwe swe plemienne siedziby w sposób nadmierny i niestosunkowy do sił, jakimi trwale mogła rozporządzać. Wojowniczy i dzielny, ale nieliczny naród zajął w swoim czasie ogromne przestrzenie na karcie Europy. Patrząc dziś na ten skąpo zaludniony kraj, odsunięty od wieku przeszło od kotłowiska interesów europejskich, prowadzący ustronny i odosobniony żywot zdala od spraw reszty kontynentu, na które nie wywiera prawie żadnego wpływu, zapomina się, czem niegdyś była „Szwecja historyczna“. Przez ciąg całych stuleci była jednym z pierwszych mocarstw politycznych i militarnych Europy, ważyła potężnie na jej losach i rozstrzygała nieraz o jej najżywotniejszych sprawach. W naszych specjalnie dziejach upamiętniła się „potopami“, które sięgały Krakowa i Karpat, dokąd zwyciężki miecz rajtarów ze Skandynawji dwukrotnie do-

cierał. Gdy się ma w myśli Polskę i Szwecję dzisiejszą, te dwa kraje tak daleko od siebie położone, tylu dziesiątkami mil i tylu różnemi od siebie oddzielone narodami, to czemś sztucznem i nienaturalnem wydaje się samo wspomnienie „wojen szwedzkich”, tych wojen, które trwały przecież tak uporczywie długo i tak olbrzymie przybierały rozmiary. Trudno przychodzi dziś uzmysłwić sobie, że sąsiadowaliśmy z Szwecją. I dopomaga nam do odtworzenia sobie tego faktu dopiero karta historyczna, która przypomina, że jak my opodal — Krymu, Szwecja dawna rozciągała się setkami mil na wschodnim i południowem pobrzeżu Bałtyku, że panowała w Finlandji, Estonji, Inflantach, że zbrojną rękę trzymała nawet na części Pomorza. Olbrzymie mocarstwo Gustawa Adolfa i Karola stopniało. Odpadły południowo-wschodnie wybrzeża i posiadłości bałtyckie — oderwaną została Finlandja. Wielka karjera dziejowa przemięła. Miejsce Szwecji „historycznej” zajęła skromna, pierwotna Szwecja „etnograficzna”.

Współczesna Szwecja, podobnie jak Polska, jest stosunkowo nielicznym, dużo mniejszym od nas narodem (liczy niespełna sześć milionów głów), którego małość jaskrawo występuje dziś wobec demokratyzacji życia i brutalnej potęgi liczby. Armja szwedzka nie da się dziś pomyśleć jako samodzielna siła wobec kilkadziesiąt razy liczniejszego sąsiada od wschodu, z którym niegdyś przecież stawała do rozprawy. Dlatego Szwecja nawet wśród dzisiejszego zamętu, nie porywa się do ponownego zawładnięcia swemi „hi-

starycznemi“ ziemiami, w których pod obcą władzą żyje przeszło 300.000 Szwedów (Finlandja), podobnie jak dwa miliony Polaków żyją na historycznych swych ziemiach, na Litwie i Rusi. Ale Szwecja zachowała w ciśniejszych swych granicach byt państwowy, my utraciliśmy go nietylko na kresach, lecz na całym obszarze aż do Kruświcy i Gniezna, gdzie rozpoczęło się kiedyś nasze istnienie. I naród szwedzki, państwowy, niezależny politycznie, posiadający swobodne podstawy operacyjne i możność wdawania się w kombinacje międzynarodowe, „w rozzumnem ocenieniu stosunku swych sił“ zrezygnował od stu lat z prób odzyskania utraconych nabytków — Polska, naród bez państwa, nie mający ani piędzi ziemi do wyłącznego swego rozporządzenia, nieuznawany przez nikogo za czynnik równorzędny, uważała przez sto lat ubiegłych za grzech przeciw duchowi narodowemu nawet samą myśl o tem, aby mogła usunąć z porządku dziennego swych zadań odzyskanie stanowiska „historycznego“ poza obrębem swoich właściwych siedzib. Tu tkwi znamienna różnica między polskim a szwedzkim — rozumem stanu.

## OKRĘT CZŁOWIECZEŃSTWA.

Z wiosną r. b. (1916) wyjedzie z Danji nowa ekspedycja polarna dla zbadania przesmyku między krajem Peary'ego a Grenlandją. Dowódcą wyprawy jest słynny podróżnik Knut Rasmussen. Przygotowaniami kieruje osobny komitet.

Jak wieść z innego świata, jak baśń z czasów niedzisiejszych, przewinęła się przez krwawe sprawozdania wojenne krótka informacja o wyprawie podbiegunowej Knuta Rasmussena. Na tle codziennej lektury cywilizowanej Europy jakże wymowna. Od Wogezów i od Rygi po Bagdad bije nieustająca kaskada krwi ludzkiej, na jednej i drugiej półkuli człowiek w pocie czoła kuje broń, kraje całe zamieniły się w fabryki wytwarzające ten jeden straszliwy towar. Tam i sam przeciągają zbrojne narody, wlokąc za sobą tabory machin, które z niezrównaną oszczędnością czasu zasiewają pola trupami zamiast ziarnem. Pod wodą, na lądzie i w powietrzu czyha śmierć. Potworna febra wstrząsa łonem ludzkości. Jakby się miało pod koniec nowoczesnemu światu, rozszalał się wulkan nienawiści i zagłady. A mała Danja szykuje wyprawę naukową do bieguna. Na falach oceanów krąży policja morską, błyskająca groźnie ślepiami dział, z głębi wód śmigają zaczajone łodzie, znieścacka wysyłające śmiertelne strzały. A Danja śle ku nieznanym łądom swój statek - symbol, przy którego sterze stanie żeglarz - przyrodnik, żeglarz - odkrywca.

W ciągu dziewiętnastu miesięcy trwania tej wojny powszechnej odwykło się od podobnego zjawiska, które kiedyś było przecież zjawiskiem pospolitem. I aż dziwi ten okręt duński, na którym popłynie Człowiek, co nie zabija, co pod flagą nauki z kilofem i przyrządem mierniczym w ręce wypływa w przestwór, aby opanowywać przyrodę. Wzniosła дума człowieka, która nie znosi żadnych dla siebie tajemnic na globie, kieruje statkiem Knuta Rasmussena. Knut Rasmussen jedzie podbijać martwe obszary. A ile jeszcze do podbicia pozostało przyrody żywej, która karmi, odziewa i mnoży?

Karta geograficzna wykazuje sporo miejsca w samej Europie. Jeżeli krajami gęsto zaludnionymi nazwiemy już te, w których na kwadratowy kilometr przypada powyżej 150 ludzi, to o wyzyskaniu obszaru można mówić właściwie tylko w Belgii, gdzie przypada 252 i w Holandji, gdzie przypada 176 ludzi na kilometr kwadratowy. Inne względnie gęsto zaludnione kraje wykazują: 145, 121, 120, 76, 74. Nigdzie cyfry te nie oznaczają maximum zaludnienia, w każdym bowiem z tych krajów znajdują się spore obszary, których siłę produkcyjną przy odpowiednich wkładach pracy, techniki i kapitału, można znakomicie pomnożyć, lub które czekają wręcz na pozyskanie dla kultury, jak rozległe przestrzenie bagniste, wymagające tylko odwodnienia i uprawy, aby zacząć rodzić. Nie brak nawet przykładów cofania się zarówno kultury, jak ludności. Irlandja przed laty 70 liczyła dwa razy więcej mieszkańców, niż dziś. We

Francji można mówić raczej o braku ludzi, niż miejsca. Tem bardziej daleko do przeludnienia krajom młodszym. Żyzna Rumunja ma na obszarze kilometrowym 53 ludzi, a olbrzymia, połowę Europy zajmująca Rosja, w nieprzebrane bogactwa obfita, 25! Łatwo obliczyć, ile setek milionów mógł by wyżywić ten kraj przy gospodarce intensywnej, skoro górzysta Szwajcaria żywi ich na kilometrze 91. W starej Europie, zdawałoby się, wciąż jeszcze przestrzenie. Mimo to ciasno jest człowiekowi i walczy o miejsce. A walczy tak, że koszta obecnej wojny i zużyta na nią energia rąk i głów zmieniłaby Saharę w kwitnący ogród.

Wojna ma być egzaminem. Jeżeli tak jest, to dziś nasza część świata zdaje walny egzamin. Zdała go już. Po dwudziestu wiekach kultury chrześcijańskiej narody dygocą żądzą wytopienia się. Jak w czasach Atylli pędzi je na karki sąsiadów głód przestrzeni, którego potwornie chorobliwy przykład oglądamy na Rosji, gdy dość rękę wyciągnąć po tę przestrzeń — u siebie, gdy we własnym domu czeka ona na pełny wysiłek mięśni. Pewien myśliciel wyraził świeżo obawę, że z obecnego zniszczenia dóbr kulturalnych na naszym kontynencie skorzysta Nowy Świat, aby ująć ster dziejów w swoje ręce. Europa skończy swą odwieczną rolę przewodnią, rolę tę na przyszłość obejmie Ameryka. Jeśliby to był istotnie już zmierzch tej starej areny dziejów, doprawdy, żałować nie byłoby czego. Jakież to bowiem cnoty wykazała nasza macierz europejska?

Wybierała się wciąż do Utopji, a grzęzła i grzęźnie — w trzęsawisku.

Lat 2300 minęło, jak w domu Akademosy snuł Plato swoje złociste marzenie o ustroju idealnym, w którym rządziłyby mędrzy i wiedza. Od tego czasu ileż więcej było twierdz, niż Akademji, ileż donioślejszy bywał głos zbrojnego hoplity, niż filozofa. Dziewiętnaście wieków minęło, gdy pierwszy raz na lądzie Europy rozległo się wołanie z Nazaretu: „miłujcie się!“ A oto genjusz ludzki zamieszkał w laboratorium bomb i gazów trujących. A oto wszystkie dziedziny życia stały się przedsiódkami rowów strzeleckich. Sto pięćdziesiąt lat upływa, jak człowiek wielkiej rewolucji przewidywał w niedalekiej przyszłości wiek złoty. W marzeniach markiza Condorceta stawała na czele społeczeństwa „organizacja doświadczeń i odkryć naukowych“: człowiek nowoczesny miał iść do walki już tylko z przyrodą, dzikie i puste lądy zostałyby skolonizowane, a ciągłe stosowanie zdobyczy wiedzy rzucić miało trwałe podwaliny pod kwitnący rozwój ludzkości. A oto w roku 1916 namiestnik Chrystusa musi szła ludzki trzeźwić okrzykiem, że to przecież dopełnia się samobójstwo cywilizacji!

Kłami i pazurami pisze Europa swe dzieje najnowsze. Zaś duński okręt - symbol, jakby wstydliwie nwoził ze sobą pod biegun pierwiastki człowieczeństwa.

1916.

## POSZUKIWANIE SENSU WOJNY.

Pan Profesor Doktor Georg Kaufmann z Wrocławia ze spokojem i dobrotliwą wyrozumiałością uzonego patrzy w kłębowisko walczących narodów: szuka w niem wyższego sensu. W dostojnej czaszce snują się „Gedanken über den Sinn des Weltkrieges”, które Profesor Doktor Georg Kaufmann za chwilę zwierzy szpaltom berlińskiego „Tagu”. Zrazu tajemniczy sens nie chce się dać złowić. Wciąż umyka. Filozof wrocławski rezygnuje już z tego, by właściwe zrozumienie rzeczy mogło być dane dziś naszemu ograniczonemu umysłowi: „dopiero późniejsze pokolenia pojmą znaczenie i cel tego straszliwego zmagania się ludów”, jak po wielu wiekach dopiero rozumiano sens dziejowy upadku rzymskiego imperium i błogosławiony skutek wyłonienia się barbarzyńców z Teutoburskiego lasu. Wszak nawet sam Bismark nie wiedział właściwie, dokąd zaprowadzą go jego wielkie czyny i pod koniec życia, jako następstwo tych czynów, oglądał z boleścią niejedno, czego nie chciał, czego nie rozumiał, co mniemał, że należy najgwałtowniej zwalczać. Jednakże myśl Profesora Doktora Kaufmanna pracuje dalej w skupieniu. W natężonym wysiłku rodzą się jakieś niejasne, mgliste, najogólniejsze przeczucia. Czy wojny, podobne dzisiejszej, nie są koniecznymi katastrofami, w których ludzkość po upływie jednego okresu swego rozwoju szykuje się do nowych form i nowych zadań życiowych? Ażali nie odbywa się to proces

dobroczynnego odrodzenia i pożądanej odnowy przez krew? Sceptyczne „ignorabimus“ gubi się zwolna, w miarę jak intuicja myślicielska posuwa się rażno, niezupełnie zresztą dziewiczym szlakiem, po linii idei, poszukującej w brudnej kałuży krwi — źródła żywota. Coraz dobitniej i uchwytniej wylania się przed Profesorem Doktorem Kaufmanem zdobyta w jasnowidzeniu prawda, którą, jak się rzekło, dopiero późniejsze pokolenia miały zrozumieć: Ta katastrofa jest walką o koniec jednej epoki w rozwoju świata i o początek drugiej. Jak niegdyś w dobie upadku Rzymu, przez krew idzie się do wyższych, bogatszych, doskonalszych form bytu przyszłości.

„Przez krew!“ — powtarza sobie z dobrotliwą aprobatą Profesor Doktor Kaufmann w wygodnych okopach zacisznego gabinetu we Wrocławiu.

1916.

## LEGJA HONOROWA MATEK.

Świat przedstawia w tej chwili kapitalny widok: ludzie tępią się masowo, a równocześnie suszą sobie głowy nad tem, aby się ich liczba, broń Boże, nie zmniejszyła. Ruch, mający zapobiec „wyludnieniu się“, przybiera, zwłaszcza w Niemczech i we Francji, coraz bardziej charakter ruchu narodowego. Mężczyźni obu tych krajów od lat dwóch sieją dokoła siebie śmierć, równocześnie zaś zapomocą rozległej popularnej literatury, niezliczonych odczytów agitacyjnych i gazet zachęcają kobiety, aby rodziły jak

najwięcej dzieci. We Francji tę sprawę zamierza ująć w swe ręce prawodawstwo. Niedawno deputowany Benaze proponował ustawę, któraby kobietom tamtejszym zapewniała premię państwową w gotówce za każde trzecie, czwarte i dalsze dziecko. Obecnie deputowany Peyroux przedłożył izbie projekt, według którego kobiety, mogące wykazać się, że urodziły co najmniej tuzin dzieci, otrzymywałyby krzyż „Legji honorowej matek“. Z oryginalnym pomysłem wystąpił wreszcie świeżo dziennikarz paryski Levand. Biorąc mianowicie jako podstawę obowiązek służby wojskowej, Levand żąda, aby obowiązek pełnienia tej służby, ciążyący obecnie na każdej jednostce z osobna, przerzucić zbiorowo na całą rodzinę przy równoczesnem zastosowaniu zasady: im więcej rodzeństwa, tem lżejszy obowiązek. Ustawa nakładałaby na każdą rodzinę sześć lat służby wojskowej. Jeden syn musiałby służyć pełnych lat sześć, jedynacy byłiby tedy niejako karani za winę rodziców. Każde nowe dziecko odbierałoby część ciężaru wojskowego poprzedniemu. Dwaj bracia służyliby po trzy lata. Zaliczałoby się jednak także dziewczęta. Jeżeli więc matka miałaby jednego syna a dwie córki, wówczas syn służyłby tylko dwa lata, gdyż — według określenia Lavanda — „dwie przyszłe matki, względnie ich ewentualnie potomstwo, są warte czteru lat służby w koszarach“.

Taki wzniosły probierz wartości człowieka przyniósł XX wiek ery chrześcijańskiej.

1916.

## O MEMORJALE KOŚCIUSZKI.

Wśród wielkich rysów charakterystycznych Kościuszki jest jeden, mało znany, który powinien być uwydatniony zwłaszcza dziś, gdy cała kulturalna ludzkość coraz mocniej utwierdza się w konieczności zniesienia po tej straszliwej wojnie wielkich armii stałych: Kościuszko był antimilitarystą. Ten wychowaniec szkół wojskowych, ten oficer inżynierji, ten wódz, który kierował operacjami wojskowemi w tyłu bitwach na obu półkółach ziemi, rozumiał niebezpieczeństwo, jakie z nagromadzenia mas zbrojnych płynie dla prawdziwej wolności narodów i deklarował się z całą siłą przekonania jako przeciwnik stałych armii. Posiadamy w tym względzie cenny dokument, pochodzący z chwili, gdy okryty świeżemi laurami generał brygady armii Stanów Zjednoczonych po powrocie na ziemię ojczystą gotował się do czynnego wystąpienia na widowni dziejów własnego narodu.

Było to w r. 1788, gdy wielki sejm w Warszawie rozpoczynał obrady, mające zreformować rząd Rzeczypospolitej i stworzyć siłę wojskową dla obrony przed niebezpieczeństwem zewnętrznem. Bawiąc podówczas w rodzinnych Siechnowiczach na Litwie, Kościuszko nakreślił przechowany do dziś szczęśliwie rodzaj memorjału, w którym zastanawia się nad tem, w jaki sposób należałoby rozwiązać kwestję tak żywo w całym narodzie omawianej „aukcji“ wojska. Przyszły Naczelnik, najwybitniejsza w owym czasie w Pol-

scie powaga w rzeczach wojskowych, oświadczą się w owym memorjale wyraźnie przeciw utrzymywaniu przez państwo stałej armii, a to w obawie, że armia taka „kładłaby kajdany na obywateli“, że mogłaby być z czasem użyta przez zwierzchnią władzę przeciwko samemu narodowi na ukrócenie jego swobód obywatelskich i politycznych. Natomiast przeciwstawił jej Kościuszko plan uzbrojenia całego narodu, wzorem milicji amerykańskiej, co byłoby poniekąd nowoczesnem rozwinięciem idei dawnego polskiego pospolitego ruszenia, z tą ważną zmianą, że pod broń miałyby być powołana nie sama tylko szlachta, jak dotąd, lecz także mieszczaństwo i lud wiejski. Stanowisko, jakie Kościuszko zajął, a które wykazuje znamiona tak wybitnie nowoczesne, nie oznaczało w Polsce żadnej herezji ideowej. Było ono zgodne z całą wielowiekową tradycją polityczną narodu polskiego, który rozumiejąc dobrze, że nagromadzenie wewnątrz kraju znacznych stałych sił zbrojnych posłusznych skinieniu jednego człowieka nie tylko prowadzi do wojen, ale toruje drogę do autokracji i „położenia kajdanów na obywateli“, bronił się z niepokonanym wstrętem przeciw wampirowi militaryzmu.

Wypadki dzisiejsze, które tak krwawo stwierdziły słuszność tego stanowiska, rzucają blask także na skromny memorjał Kościuszkowski z r. 1788.

1917.

---

## „GODNI BYĆ NARODEM“.

W aktualnej dziś dyskusji o Polsce w prasie i w literaturze politycznej obcej spotyka się częste wycieczki w dziedzinę naszej przeszłości, potrzebne zwłaszcza w tym celu, aby ocenić w jakim stopniu jesteśmy „godni być narodem“, t. j. państwem. Podczas takich dygresyj rozmaici moralizatorzy polityczni lubią przypominać „winy“ polskie w rodzaju „liberum veta“, warcholstwa szlachty itd. Jest to grube nieporozumienie.

„Winy“ — wobec kogo? Czy najcięższe nawet publiczne przewinienia naszych przodków szkodziły komukolwiek na zewnątrz? Nigdy. Przynosiły szkodę nam samym, nikomu więcej. Jeżeli nie dochodziły w Polsce sejmy, jeżeli skarb był pusty, a sprężystość rządu szwankowała, nie przeszkadzało to zgoła innym narodom Europy mieć rządy sprężyste, skarby pełne, a sejmować ile im się tylko podobało. W życiu międzynarodowym jako wina może być uznane tylko takie działanie, którem wnosi się niepokój i zaburzenia w ogólny zespół, a więc wzajemne szczucia, zмовы, najazdy sąsiedzkie, grabieże obcych prowincyj, dawanie impulsu do odwetów itd. Wówczas bowiem z powodu jednego awanturnika lub chciwca inne narody mogą być wciągnięte w wir niepokojów i zahamowane w pełnieniu swych zadań życiowych.

Takich grzechów, jako żywo, my Polacy na sumieniu nie mamy, natomiast bliżsi i dalsi sąsiedzi

nasi — bez liku. Prawie każde mocniejsze państwo w Europie napadało, grabiło, szarpało obce posiadłości i wszczynano pożary międzynarodowe. Tu można mówić o „winie“. Jeżeli po jednej tylko wojnie 30-letniej ludność Niemiec spadła do trzeciej części, a kraj na dziesięciolecie zamieniał się w pustynię, to łatwo pojąć, że to krwawe awanturnictwo w sumie musiało cofnąć rozwój kultury o całe stulecia. Nie my, lecz owe rozbójnicze państwa i państewka z pełnym skarbem, mocną władzą i bez „liberum veta“, w interesie ludzkości powinny były być wzięte w katekę.

Moralizatorzy, którzy wobec powstającej na nowo państwowości polskiej chcą nam dawać mądre lekcje, jak się powinno żyć, i dla lepszego udokumentowania swych nauk wypominają nam „winy“ byłej Rzeczypospolitej, niech raczej zwrócą się ku własnej przeszłości. Tam doszukają się „win“ istotnych, a zarazem cennych wskazówek, jak się żyć — nie powinno.  
1917.

---

## DŻINGISCHAN.

---

Przywykliśmy mówić pogardliwie o „hordach“ Dżingischana.

Ogłoszony świeżo tom pierwszy „Dziejów Rosji“ Feliksa Konecznego, przypomina (str. 240—255) mnóstwo ciekawych szczegółów o tej półazjatyckiej po-

tędże, która przy bliższem przypatrzeniu się, nabiera pod wielu względami cech nowoczesności <sup>1)</sup>.

Dżingischan, czyli „król królów“ (właściwe imię: Temudżin), był nietylko zdobywcą na wielką skalę, ale zarazem genialnym organizatorem i administratorem. „Horda“ jego była to armja regularna, ze stałemi kadrami, z zawodowym korpusem oficerskim, urządzona na zasadzie systematycznego awansu, wykształcona wojskowo, doświadczona w masowych pochodach i obrotach, posiadająca swoje wypróbowane kombinacje strategiczne i nadzwyczajną pewność ruchów, dzięki wzorowej karności.

Dżingischan stworzył całą szkołę wodzów, „zasługujących ze stanowiska wojskowego na najwyższy podziw“. Masy zbrojne, które wciąż pomnażał i musztrował, równały się liczebnie całym plemionom. Gdy w r. 1237 wnuk jego Batuchan podejmował wyprawę, mającą dotrzeć od Wołgi do Dunaju, miał pod sobą 5 armij po 3 korpusy, t. zw. „tumany“, razem 150.000 żołnierza, cyfra przy zaludnieniu ówczesnem niemniej olbrzymia, jak w stosunku do zaludnienia dzisiejszego liczma armji dzisiejszych.

Władza Dżingischana była ogniskiem ducha zdobywczego, a całe państwo jego i jego następców opierało się na sile militarnej, tak, iż nawet ludność cywilna była urządzona po wojskowemu. Wszystko służyło jednemu celowi: wydoskonaleniu narzędzi podboju. Tuż za armją, zaprowiantowaną nawet na spo-

---

<sup>1)</sup> Poniżej łatwo uchwytna analogja z Prusami.

sób wprost nowoczesny, i posiadającą wyborną służbę etapową, ciągnęły tabory wyszkolonych urzędników, którzy po zwycięstwie zaprowadzali natychmiast administrację w imieniu Dżingischana i wprawiali ją w ruch z imponującą sprawnością.

Tak doskonała potęga — i przecież rozsypała się w gruzy. Nazywamy ją słusznie „hordą“. Pomimo świetnej organizacji i wysoko rozwiniętej techniki, była to horda, gdyż brakowało jej *ideału moralnego*, a jedynym jej motorem była *żądza panowania*.

Marzec 1918.

## KAMPANJA O ZACHODNIĄ POLSKĘ.

Motywy, jakimi Prusacy popierają swój tytuł do zatrzymania ziem od Oświęcimia do Gdańska, są dwojakiego rodzaju: nieświadomie wesołe i cyniczne.

Cynizmem w wyborowym pruskim gatunku są n. p. wywody wszechniemieckiej „Tägliche Rundschau“, streszczające się w zdaniu: „Polska, która sama nie walczyła, otrzymać ma pruskie terytorja — oto pierwsza próba sprawiedliwości nowego związku narodów“. Gazecie hakatystycznej nie przejdzie ani przez myśl, że te „pruskie“ terytorja zabrane zostały nie tak znowu dawno *przemocą państwu polskiemu*, które istniało tysiąc lat, t. j. dwa razy tak długo, jak Prusy, i że tu chodzi tylko o *przekreślenie rabunku*, o powrót do rąk dawnego, prawnego posiadacza.

Wszechniemiecka „moral insanity“ nie rozumie tej prostej rzeczy, która jednak, mamy nadzieję, znajdzie zrozumienie na pokojowej konferencji narodów.

\* \* \*

„Berliner Lokal Anzeiger“ biada, że spełnienie żądań polskich grozi odcięciem Prus wschodnich od Rzeszy przez polski przystęp do morza. Nie jest naszą winą, że się Niemcy wepchnęli aż pod Królewiec, oddalając się od swych właściwych siedzib i przeskakując obce kraje. Nie widzielibyśmy zresztą nieszczęścia w tem, gdyby niemiecka (północna) część Prus Książęcych utworzyła osobne państewko, jakich Niemcy już mają parę tuzinów. (Świeżo obrany „król finlandzki“ z Hesji, który waha się zająć ryzykowny nieco tron w Helsingforsie, mógłby tu otrzymać stosowne zajęcie). Nie wiadomo także dlaczego państewko wschodnio-pruskie miałyby koniecznie należeć do Rzeszy, o ile się ona oczywiście w dzisiejszej postaci utrzyma. Jeżeli Niemcy mogą żyć państwowo poza Rzeszą w Austrii i Szwajcarji, jeżeli dwa miliony Sasów siedmiogrodzkich od setek lat mogą jak wyspa językowa w zupełnem terytorjalnem oderwaniu od macierzy żyć i rozwijać się, to prawdopodobnie nie zrobi się dziura w niebie, jeżeli tyleż Niemców wschodnio-pruskich, którzy ze względu na swe wyosobnienie tworzą poniekąd analogję do siedmiogrodzkich Sasów, zostanie wyposażonych odrębną państwowością — jak to zresztą było już przez dwa i pół stulecia...

\* \* \*

Biurokracja pruska która po tłustych pięćdziesięciu latach rozszerzonemi z przerażenia oczyma patrzy dziś w nadciągające widmo odwrotu z „kresów wschodnich“, usiłuje sfałszować fakty, krzycząc w telegramie do kanclerza, że Poznańskie nie jest krajem polskim, że jest krajem co najmniej narodowo mięszanym, gdyż liczy wśród swej ludności 800.000 Niemców. W odpowiedzi na to konstatujemy, że z równą słusnością możnaby utrzymywać, iż krajami o silnym procencie niemieckim są: północna Francja i Belgia, w których przebywa w tej chwili o wiele więcej Niemców, niż w Poznańskim. Bo tem, czem żołnierz niemiecki w Belgii, tem samem jest mrowie pruskiej biurokracji, kolonistów i innych pensjonaryszy państwa w Wielkopolsce: najazdem.

\* \* \*

Niejednokrotnie, przed wojną jeszcze, słyszało się z różnych stron, że na zbytek wycofania się od nas mogłaby sobie pozwolić Rosja, ale nigdy Niemcy (nie Prusy, ale wprost Niemcy), dla których utrata ziem polskich byłaby jednoznaczna z podcięciem samych nieledwie korzeni bytu.

Pytamy, na czem opiera się ten absurd?

Po zwróceniu komu należy nietylko polskich, ale wszelkich wogóle obcych ziem, trzymanyh prawem kaduka, Rzesza niemiecka pozostanie jeszcze organizmem najmniej 60-miljonowym, rozsiadłym na przestrzeniach rozległych i bogatych. „Naród niemiecki“ — skoro o niego chodzi, a nie o pruskiego

ducha podboju i panowania, będzie miał zaiste gdzie rozwijać swe siły żywotne. Nie potrzebuje on polskiego węgla na Śląsku, gdyż ma w zagłębiu nadreńskim ogromne własne skarby mineralne. Nie potrzebuje wąskiego skrawka polskiego Bałtyku, gdyż ma sto mil morskiego wybrzeża. Nie potrzebuje wydartego z naszego ciała Gdańska, mając Szczecin, Hamburg i Kilonję. Bałwan nazwany „racją stanu“, mianowicie bałwan niemiecki, kładzie od szeregu lat w uszy każdemu, kto chce i kto nie chce słuchać, że Niemcy nie mogą się wyrzec zaboru pruskiego, gdyż w takim razie polski Poznań leżałby — o zgrozo — o parę godzin drogi od Berlina. Pomijamy, że to nie może być racją uprawniającą grabież cudzej własności. Ale czy Niemcy koniecznie muszą rezydować w kresowym Berlinie? Dlaczego nie trochę dalej na zachód?

Fałsz, jakoby naród niemiecki potrzebował do życia ziem zagrabionych Polsce! Przeciwnie, nieprawe ich posiadanie stało się jedną z przyczyn tej strasznej katastrofy, w jaką żądza panowania wpędziła lud niemiecki.

\* \* \*

Kłeska nie nauczyła rozumu w Niemczech jeszcze nikogo, nawet najliberalniejszych, „prawdziwych“ liberałów. „Frankf. Ztg.“ woła, że polskie „pretensje“ są niemożliwe do urzeczywistnienia, bo „przyniosłyby znacznej liczbie Niemców obce panowanie“. Obce panowanie nad Polakami było możliwe, nad Niem-

camy jest niemożliwe. Panowanie Niemców na obszarze zagrabionym było zjawiskiem naturalnym, panowanie Polaków na ziemi własnej — nie. Liberali z Frankfurtu nie ma pod tym względem wątpliwości.

Albowiem — dozorca więzienny boi się zamiany ról z więźniem, boi się o swoją „mniejszość narodową”. Zdeprawowany mózg niemiecki nie jest w stanie nawet wyobrazić sobie, aby można było rządzić inaczej, niż według pruskich metod.

Październik 1918.

---

## MIAŁEŚ CHAMIE ŻŁOTY RÓG.

---

Można dziś już ustalić jako pewnik, że trudno o naród nieudolniejszy politycznie od Niemców. Jako żołnierze są oni materiałem bojowym pierwszej klasy. W niemieckim żołnierzu jest coś z żywiołu i coś z maszyny. Na wzór pierwotnych ludów z rozkoszą kapie się on we krwi. Idzie się bić z radością, strojąc się na rzeź w kwiaty, jak gdyby szedł na gody weselne. Walczy — jak to czyniły pułki bawarskie w czasie obecnej wojny — z nożem w zębach, aby móżdżek dźgać, gdy inna broń wypadnie mu już z ręki. Te „cnoty“ bojowe posiadają w stopniu bardzo wysokim. Ale jako politycy są ostatnimi partaczami.

Świadczy o tem już fakt, że potrafili uzbroić przeciw sobie całą niemal kulę ziemską i doprowadzić do osaczenia, jakiego dzieje nie znają. Że nikt

w Niemczech nie zdawał sobie sprawy z następstw takiej krucjaty ludzkości, dowodzi to, iż Niemiec myśli mózgiem przekrwionym, niezdolnym do chłodnego opanowania sytuacji. Niemiecka pięść pobiła w ciągu ubiegłych lat cztery kolosalne obszary od rzeki Mar-ny po Don i Dźwinę. Mózg niemiecki nie zdołał z tej potęgi nic zgoła wykrzesać. Światowładztwa nie osiągnął, bo był to oczywisty absurd. Ale nie potrafił sklecić nawet osławionego „honorowego pokoju“ w chwili, gdy gwiazda germańska coraz widoczniej poczęła gasnąć. Polityczne chamstwo niemieckie odepchnęło brutalnie nietylko pośrednictwo pokojowe Wilsona z początków r. 1917. Do końca, do ostatniej chwili niweczyło ono wszystko, co mogło w jakikolwiek sposób uchylić, a przynajmniej umniejszyć przegraną.

Najjaskrawiej wystąpiła ta niesłychana nieudolność polityczna Niemiec w stosunku do oderwanego od Rosji wschodu Europy. Miecz niemiecki poddał tu rozkazom Berlina obszary niemal fantastycznie rozległe, z jednej strony sięgające poza Kijów, z drugiej po fińską zatokę. W rękach berlińskich autokratów i oligarchów znalazła się Kongresówka, Litwa, Ruś, Kurlandja, Estonia. Los sześciu narodów i plemion: Polaków, Litwinów, Białorusinów, Ukraińców, Łotyszów, Estończyków, zawisł był na długo od tego, co o nich postanowił Berlin. Sytuacja ta stwarzała dla Niemców nawet w tak gigantycznej walce, jak walka z zachodnią koalicją, perspektywy korzystne nieobliczalnej doniosłości. Gdyby Niemcy w Warszawie

w r. 1915 ogłosili byli istotnie i w całej pełni niepodległe państwo polskie, gdyby wszystkim ludom, wyzwolonym przez klęskę wojenną i przez rewolucję z pod z rosyjskiego panowania, pozostawili byli uczciwie możność swobodnego urządzenia się, a poparli ich pierwsze kroki państwo-twórcze swą pomocą techniczną, gdyby spełnili byli istotnie wobec tych ludów rolę oswobodzicielską, siła niemiecka zyskałaby wówczas na wschodzie Europy tak wielkie oparcie moralne i fizyczne, że zaważyłoby ono bezwarunkowo na ostatecznym wyniku wojny, a przyszłe Niemcy zyskałyby na długi okres czasu doskonale zabezpieczony, bo dobrowolnie otwarty teren ekspansji dla nadmiaru swej energii gospodarczej.

Wiemy, jak zagrały płuca niemieckie na tym złotym rogu, który podsunęła im fortuna wojenna. Odezwała się z niego chrapliwa kakofania wszelkich form gwałtu, jakie zna tylko bogaty pruski repertoar. Zamachy na integralność nawet tej sparodjowanej „Polski“, która się miała pomieścić między Prosną a Bugiem, rabunek polskiego mienia, pożądlivość na polski węgiel. Wznowione męczeństwo Litwy. Pruski latjnant, aresztujący ministrów w Kijowie. Poddanie Estonii i Łotwy pod rządy niemieckich baronów. Ukrozenie w prochu dumy narodowej rosyjskiej. Aneksja. Kolonizacja. Germanizacja. Policyjne rządy. Rozpętanie morza nienawiści. Oto co niemiecki rozum stanu wniósł na wschód Europy w chwili zagrożenia [Niemiec przez całą skonfederowaną ludzkość. Że się tak stało, jak się stało — nie my mamy powód narzekać.

Tyle razy jednak wysłuchiwaaliśmy od Niemców wyniosłych apostrof na temat polskiego romantyzmu a braku zmysłu do realnej polityki, że godzi się wobec likwidacji wojny wskazać, jak wygląda ten zmysł u samych Niemców. Niechże im służą teraz w całej pełni skutki ich „realizmu“ politycznego, skutki, które się dopiero zaczęły.

Październik 1918.

---

## AFORYZMY.

Stary Skarga mówił: „Dobrze miłować sąsiada, lepiej wszystkich, którzy w mieście jednym są, a jeszcze lepiej wszystkie obywatele królestwa tego. Do tej szerokiej i przestronnej miłości przywoźcie się macie, przezaeni panowie“... „Przestronna i szeroka miłość“, którą przezacnym panom sejmowym zalecał kaznodzieja Zygmunów, objawia się u wielu współczesnych przywódców narodu w sposób nader oryginalny: Kochają ojczyznę, a nienawidzą ludzi w ojczyźnie. Pogląd, jakoby częśćka Polski kryła się w każdym w Polsce człowieku, jest im zbyt tuzinkowy. Umiłowali oni jakby Platońską ideę narodu. Jest w tej abstrakcyjnej miłości coś mistycznego, — a' więc wzniosłego.

„Na pal bym wbijał!!!“ rzekł temi czasy pewien płomienny patryjota, rozglądając się po ojczystej krainie. Był to wielki miłośnik Polski wyzwolonej — z ludzi.

Od wieków cały świat chrześcijański w modlitwie tak wzniosłej, jak strzeliste katedry gotyckiej wieżycy, przed tron Przedwiecznego śle błagalny okrzyk:

„Od powietrza, głodu, ognia i wojny — wybaw nas Panie!“

I jest w wielkiej rodzinie świata lud, z którego piersi w chwili najwyższego wzniesienia się ducha, wydarł się straszny okrzyk:

„O wojnę powszechną — prosimy Cię, Panie!“  
Cywilizacja! Jakżeś nas nauczyła modlić się!

Muzyk rosyjski ginął w tej okropnej rzezi krociami tysięcy i milionami, a rosyjski minister wojny kradł skrzętnie krocie i miliony. „Minister wojny i złodziej!“ dziwią się prostaczkowie. Minister wojny i zbrodniarz!

Nie ma się czemu tak bardzo dziwować.

Czy petersburski kierownik techniczny historycznego szlachtuza kradł lub nie kradł, to w gruncie rzeczy kwestja co najmniej podrzędna dla oceny — typu.

\* \* \*

Silne są te społeczeństwa, których każdy członek odczuwa i rozumie swój ścisły związek z całością. W Polsce wypowiedziano trafne słowa, iż „szczęścia w domu nie było, bo go nie było w ojczyźnie“, ale ten, który wypowiedział je, był — poetą. Prawda o przyczynowym związku pomiędzy szczęściem powszechnem a domowym była w tym kraju o wiele więcej przecuciem wieszczów i ozdobą retoryczną mów przygodnych, aniżeli realną wartością życia. Że los całości wpływa przemożnie na fortunę jednostki, że powodzenie wszystkich stwarza warunki powodzenia dla każdego z osobna, że troszczyć się o dobro drugich znaczy troszczyć się o dobro swoje, że solidarność zbiorowości narodowej jest mądrą formą egoizmu wszystkich jej części, to, mimo dopusty losu, który wysilał się na wychowanie polskiego zmysłu jedności, było w niefraszliwym plemieniu naszym wciąż jeszcze przeważnie prawdą bakałarzy. Zdawało się zarówno piękno duchom, jak zjadaczom chleba, że naród- abstrakcja może wic się na łożu Prokrusta, zaś konkretność ludzka w Polsce może swoją drogą przeciągać się swobodnie na różach. Temu złudzeniu dała sromotnie w twarz wojna 1914/15 swą nieznaną dotąd intensywnością zniszczenia. Kiedy z dymem uleciało bogactwo spichlerzy, kiedy oniemiał szum kół fabrycznych, kiedy renta i dywidenda przeszły do krainy miłych wspomnień, a nad głową zapalił się dach, a pod stopami zadrżała ziemia, stało się wreszcie jasnym, jak dzień, że szczęścia w domu niema dlatego, bo go niema w ojczyźnie, bo ojczyzna polska jest — domem przechodnim.

To byłaby dla wielu z nas jedna z wielkich lekcyj tej wielkiej wojny.

\* \* \*

Istnieje teza, że nie masz nic większego na świecie ponad oficjalnie pojętą tak zwaną „sprawę własnego narodu!“ Stanowisko bezwarunkowo fałszywe. Narody, podobnie jak ludzie, bywają w pewnych momentach zbrodnia rzami. I wtedy ich „sprawa“ powinna być zwalczana także od wewnątrz, przez własne, moralnie niezdeprawowane części składowe.

\* \* \*

O Polsce z końca XVIII. wieku pisze historyk francuski Rulhiere na podstawie świadectw obcych podróżników: „Bezpieczeństwo panowało w miastach... podróżny bez obawy mógł przebywać tak lasy najsamotniejsze, jak drogi najliczniej uczęszczane... nie słycać nigdzie rozmów o zbrodniach i nie lepiej nie popiera mniemania niektórych filozofów, że człowiek z natury jest dobry“. W Polsce z początku XX. wieku więzienia wypełnione są tak szczelnie, że bezradna sprawiedliwość nie może przyjmować nowych kandydatów, a bandyci cieszą się na ogół niezamąconą swobodą wykonywania swego procederu. — Stosunki na ziemi naszej z przed półtora wieku nazywają się a n a r c h i ą. Dzisiejsze — praworządnością.

\* \* \*

Z psychologii języków:

Wyraz polski „broń“, świadczy dobitnie, że źródłem zbrojności naszych pradziadów była obrona — nie napaść.

Nasz „rząd“ wywodzi się od pojęcia porządku, harmonji. Dla Niemca jest to „Regierung“, a więc coś, co bierze początek z woli króla.

„Władza“ jest dla Polaka synonimem ładu, władca jest ładu stróżem i przedstawicielem. U Niemca jest to „Gewalt“, przemoc, siła brutalna.

Pojęcie „gwałtu“ zapożyczył sobie nasz język żywcem z niemieczyny. Wiedział, gdzie pożyczać.

\* \* \*

Czy wieczny pokój jest możliwy?

Ludzie, pozujący na trzeźwość, traktują takie pytanie z pobłażliwym uśmiechem i odpowiadają, że nie, gdyż 1) wojny są tak stare, jak ludzkość, 2) walka toczy się nieustannie w całej przyrodzie.

Lecz z kolei trzeba tę odpowiedź potraktować z uśmiechem, gdyż 1) walka wprawdzie jest niezmiennym czynnikiem życia, ale nie jej formy, które w społeczeństwie ludzkim uległy już pewnym zmianom i nie zgoła nie upoważnia nas do uważania za dogmat głośnego twierdzenia, że walczące ze sobą grupy ludzkie będą to czyniły zawsze w postaci fizycznego mordu, 2) ludzkość ze swoim kilkutyсяcioletnim okresem życia w kulturze jest jeszcze nieomal w powijakach, ma za sobą zaledwie mgnienie oka, a przed sobą niewymierne otchłanie czasu.

Czyż nie jest najwyższą naiwnością wyobrazić sobie, że w wieku męskim będzie człowiek zbiorowy robił koniecznie to samo, co czyni dziś, jako raczkujące niemowlę.

---

## NARÓD.

---

Od Napoleona III, który z genialną intuicją odczuł polityczne znaczenie dla Europy kwestyj narodowościowych, a raczej już od romantycznej „wiosny ludów“ r. 1848, toczy się problem ustalenia losu różnych obudzonych, niewyzwolonych i niezjednoczonych narodów. (Sprawa polska aż do połowy XIX. w. była sprawą raczej państwowo-polityczną, niż ściśle narodowościową). Europa po-Metternichowska ujrzała przed sobą naraz cały rój niedostrzeganych przedtem plemion, które wyszły jakby z pod ziemi i jeły upominać się o miejsce pod słońcem. Niektóre z nich zdążyły od tego czasu zdobyć sobie własne podwórko polityczne, jak n.p. ludy bałkańskie, inne przeszedłszy okres mgławicy plemiennej, skryształizowały się w narody, świadome swego bytu i swoich celów. Jak żywotną jest sprawa tych najmłodszych członków niezbyt miłującej się „rodziny“ europejskiej, świadczy fakt, że obie wielkie koalicje dzisiejszej wojny wypisały na swych sztandarach między innymi hasło — wyzwolenia, względnie ustalenia bytu małych narodów. One same gwałtownie dają znać o sobie światu bądź potopem literatury,

bądź nawet strzałami karabinowemi. Niedawno „małe narody“ odbyły demonstracyjny zjazd w Szwajcarii. Optymiści twierdzą, że jednym z nieuniknionych następstw wojny światowej będzie jeśli nie rozwiązanie, to przynajmniej bardzo znaczne posunięcie naprzód ku rozwiązaniu różnych kwestyj narodowościowych w Europie.

Sprawa jest w każdym razie dużo trudniejszą i bardziej zagmatwaną, niż mogłoby się zdawać pospiesznemu — optymizmowi. Pominąwszy wszystkie możliwe komplikacje praktyki politycznej, brak dla całkowitego wygładzenia tych kwestyj z powierzchni ziemi warunku tak elementarnego, jak: definicja narodu. Dotychczas jeszcze nie zdobyła się teoria na zgodne określenie: co to jest naród? Pospolicie podaje się jako główne czynniki warunkujące istnienie narodu: wspólność terytorjum, własny wspólny język, oraz wspólność tradycji, jako najważniejszy wyraz wewnętrznej więzi duchowej.

Jednakże życie drwi sobie z tego sprawdzianu; wytworzyło ono w tej dziedzinie w ciągu długiego rozwoju historycznego bądź okaleczenia, bądź wręcz dziwactwa i dziwolągi, wobec których teoria staje z otwartymi ustami. Irlandczycy zatracili niemal ze szczerem swój własny stary język celtycki — pozostali przecież niewątpliwie oddzielnym narodem. Co więcej, przyjęli język swych dziedzicznych wrogów, zachowując mimo to wobec nich całą nieprzyjazną odrębność. Wiąż tradycji okazała się tu silniejszą od więzi języka. Żydzi zatracili i język własny i tery-

torjum. Stało się to już przed dwoma prawie tysiącami lat. Jednak wbrew wszelkim formułkom i brew urzędowemu nieuznawaniu ich za naród, rozsypani po całym świecie jak piasek, bez piędzi własnej ziemi, bez własnego języka, wykazują imponującą spoistość plemienną, która objawiła się nawet w chęci powrotu do przedtysiącletnich siedzib, chęci zresztą mało obiecującej pod względem praktycznym. Tu religia narodowa zastąpiła wybornie brak dwóch podstawowych warunków indywidualności narodowej, spełniając znakomicie misję zakonserwowania duszy narodu. Obok tego widzimy inne niesforne zjawisko rozwojowe, jakby wręcz urągające tamtemu: wspólny język i wspólne terytorjum, a w ramach tej wspólnoty — dwa narody. To Chorwaci i Serbowie. Rozsadzająca siła różnych kultur, bizantyńskiej (Serbowie) i łacińskiej (Chorwaci), oraz odmiennych nieco losów dziejowych, okazała się głębiej kształtującym czynnikiem, niż siła łączna wspólnej ziemi i mowy. W poczuciu własnym Serb i Chorwat są członkami dwóch różnych narodów, choćby zresztą nauka musiała traktować ich jako etniczną jedność. Pojęcie narodu nie jest tedy zgoła ustalone. Jeśli nie stało się to w nauce — cóż dopiero w życiu. Stwierdźmy dla przykładu, że pomiędzy naszym polskim pojęciem narodu a pojęciem zachodnio-europejskim, istnieje niejednokrotnie przepaść. W pojęciu Francuza „nation“, to tylko naród polityczny, państwowy, gdy my temu wyrazowi dajemy pospolicie znaczenie zgodne z kryterjum naukowym, co prawda chwiejnym.

Rozwój skupień plemiennych uragał, jak widzimy, wszelkiemu szablonowi, pokrył też całą Europę szeregiem tworów uderzających swą osobliwością. Proces historyczny zostawił po sobie w tej dziedzinie ugrupowania dziwaczne i niespodziewane formy szczątkowe, które jeszcze dziś nieraz gmatwają bieżące życie. Jak pokłady geologiczne ziemi, kładły się na sobie w Europie jedne warstwy plemienne na drugich, a z wzajemnego przenikania ich soków wytwarzały się nowe wciąż kombinacje. Fala wędrówek i wielkich przesunięć narodów szła nakształt powodzi, zatapiając i wyciskając stare osiedlenia, a po swem opadnięciu zostawiając często osobliwe samotne wysepki, które miały przetrwać następnie aż do naszych czasów. Taką drobną wyspę językowo-plemienną tworzą przytuleni do oceanu atlantyckiego hiszpańscy Baskowie, niespokrewnieni bliżej z żadną grupą ludów europejskich, oraz bałkańscy Albańczycy, a także twórcy najstarszej i najwspanialszej kultury Europy — Grecy. Jeszcze w początkach ery chrześcijańskiej olbrzymia połać Europy od górnych Włoch, przez całą dzisiejszą Francję, Irlandję, Brytanję, Belgję aż do południowych Niemiec zaludniona była przez liczne plemiona Celtów, które miecz Cezara podbił rzymskiemu imperjum, na których podłożu powstały nowoczesne narody: włoski, francuski, angielski. Z tego starego zaginionego świata celtyckiego kaprys historii zachował strzępy: w francuskiej Bretonji, w Walji, na paru wyspach Irlandji. Około dwa i pół miliona tych niedobitków, mówiących dotąd pierwotnymi swy-

mi narzeczami, które pamiętają czasy Cezara, żyje niby okaz muzealny wśród nowych ludów Europy. Podobnego rodzaju smutne kaprysy dziejów zna również rozwój, a raczej proces zanikania Słowiańszczyzny, której olbrzymia zachodnia połać została zalana falą germańską. Są to Serbowie pod — Dreznem. Mały imiennik Serbów bałkańskich, szczątkowy ludek słowiański, liczący zaledwie jeszcze 150.000 dusz, przeżywa ostatnie swoje chwile, ogarnięty zewsząd potężnymi ramionami narodu niemieckiego.

Innego rodzaju form i zjawisk szczątkowych pełno również na wielkiem nasypisku plemion Europy. Znajdziemy je przedewszystkiem w tem, dokoła czego duma narodów owija się niby dokoła sztandarów: w ich nazwach. Są one bardzo często, wbrew owej dumie, obcego pochodzenia. Celtycko-romańska Francja wstąpiła w dzieje z germańską etykietą, wziętą od zdobywczego [plemienia germańskiego Franków. Dzisiejsza pra-niemiecka Frankonja i Francja, dwa wrogie pojęcia, łączą się we wspólnej nazwie. Wyjątkowy chaos wytworzył się dokoła narodowej nazwy angielskiej. Nazywamy Anglików Anglo-Sasami. Jednakże oba człony tej nomenklatury są znowu rdzennie niemieckiego pochodzenia. Anglowie i Sasi, to dwa zdobywcze szczepy niemieckie, które w V i VI w. zastajemy w dzisiejszym Szlezwiku, u ujścia Łaby, a z których drugi spotykamy dziś — o ile o nazwę chodzi — w zgoła innej stronie Niemiec, osiadły na dawnej ziemi słowiańskich Serbo-Łużyczan. Narodowy dźwięk „Anglja“ jest więc takim samym

obcym nalotem, jak Francja. I druga nazwa dumnej wyspy, Wielka Brytanja, aczkolwiek bardziej miejscowego pochodzenia, musi dzisiejszym swym panom brzmieć jako pożyczka. Jest ona wszak spadkiem po celtyckich Bretonach. Wielkiej Brytanji niby echo odpowiada jeszcze dziś mała celtycka Bretonja, po drugiej stronie kanału. Północno-francuska „Normandja“, to inne znowu wspomnienie dawno przetoczonyj obcej fali z głębin Skandynawji. Z imienia groźnych i wspaniałych zdobywców normandzkich, którego gromowe echo rozlegało się po całej Europie, pozostał tylko ten lokalny dźwięk na małym skrawku francuskiej ziemi. Lista tych pożyczek jest nieskończona. Dawni Belgowie celtyccy znikli — nazwa, znowu kaprysem historii, zachowała się jako dziedzicwo Flamanów i Walonów, dwóch ludów zgoła odmiennego pochodzenia, które mimo to w poczuciu własnem tworzą jeden „naród“. Nasypisko szwajcarskie, które wykazuje analogiczny „naród“, tym razem trójjęzyczny, powstało na ziemi dawnych Helwetów, znanych z Cezara. Tu nazwa przedwieczna znikła z codziennego życia, ale „Helvetia“ żyje jeszcze świątecznie na — znaczkach pocztowych szwajcarskich, ostatni cień przeszłości. Po światowładnej Romie nazwę biorą najmniej uprawnieni do tego, dalecy, nadczarnomorscy zromanizowani Dakowie — Rumuni (Romani) i drobny ludek reto-romański w Alpach, gdy najbliżsi i terytorjalni dziedzice Romy, Włosi, biorą nie plemienną, lecz polityczną nazwę Rzymian : Italja, Italowie. Nie brak tych zgoła niespodziewanych przeskoków szyl-

dów historycznych i w Słowiańszczyźnie. Imię olbrzymiej, stumiljonowej grupy ludów wschodnio-słowiańskich — Ruś wywodzi się od jakiejś sobie rzeczki skandynawskiej, skąd Wariago-Rosy, Normandowie wschodu europejskiego, ruszyli na swą zdobyczną wędrówkę. Zupełnie analogicznie powstała nazwa (i państwo) Bułgarów, pochodząca od turańskich najeźdźców z nad Wołgi. Zdobywcy wsiąknęli w miejscowy lud słowiański, zostawiając po sobie tylko organizację państwową i imię, dane im zresztą przez podbitych Słowian. Ale pierwsze, niesłowiańskie państwo Bułgarów (Wołgarów) istniało około roku 680 istotnie nad — Wołgą, gruzy jego kwitnącej niegdyś stolicy znajdują się dotychczas około osady czuwaskiej „Bołgary“, a tamtejsze plemię Czuwaszów, które w swych „świątecznych“ czasach zapędzało się aż na Bałkany, to niby polityczni przodkowie Bułgarów w Europie.

Wynikiem ścierania się i przenikania plemion jest wreszcie osobliwe zjawisko, iż wspólna nazwa historyczna służy dziś odłamkom dwóch zupełnie różnych narodów. Zjawisko to spotykamy mianowicie — u nas. Nazwa Litwinów stała się wspólna dla trzech grup plemiennych dawnego W. ks. Litewskiego: Litwinów, Polaków i Białorusinów, przyczem podstawy tej wspólności wypływają z głębszych źródeł, niż polityczne, gdyż znaczna część Litwinów - Polaków, to istotnie Litwini z krwi, o polskiej kulturze i ideałach. W innej postaci występuje to zjawisko dwoistości języka, a tożsamości nazwy, i w rdzennych naszych

ziemiach, mianowicie zachodnich. Nazwa Ślązak oznacza pewien odłam narodu niemieckiego i pewien odłam polskiego, gdyż istnieje Śląsk niemiecki (dolny i średni) i polski (górnny). Jest to potężny dla nas w swej wymowie skutek procesu dziejowego, jaki odbywa się w tym kraju, niegdyś całkowicie polskim. Mniej znanym u nas jest fakt istnienia innej podobnej wspólnoty nazwy: Mazowsza polskiego i Mazowsza niemieckiego. Ta ostatnia odnosi się do części Mazurów protestanckich w Prusiech książęcych, gdzie w pewnych okolicach ludność, mówiąca już językiem niemieckim, jako ojczystym, zatrzymała jednak starą swą nazwę Mazurów, nawet w warstwie wykształconej (na uniwersytecie w Królewcu istnieje niemiecki związek studencki „Masovia“, w którym śpiewany bywa hymn „Maşovia lebe, mein Vaterland“). Osobliwość etniczna, jaką jest wspólność nazwy dla odłamów dwóch różnych narodów, występuje w bardziej jeszcze skomplikowanej postaci, a przede wszystkim na szerszą skalę, w ukształtowaniu się pojęcia Prus. Komplikacja polega na tem, że nazwa Prusaków jest pozostałością po plemieniu dawno wymarłym. Należało ono, jak wiadomo, do rodziny językowej litewskiej i zajmowało obszary od prawego brzegu dolnej Wisły aż po Królewiec z odpowiednią podstawą w głębi kraju, a więc na przestrzeni dzisiejszych Prus królewskich i książęcych, czyli zachodnich i wschodnich. Miejsce wymarłych, względnie wyęptanych Prusaków, z którymi uporeczywie i długoletnie walki staczali zarówno nasi Piastowie, jak Zakon

krzyżacki, zajęli osadnicy napływowi, polscy i niemieccy, lecz nazwa pierwotnych mieszkańców kraju zachowała się. Przy upadku Zakonu zachodnia część Prus dostała się Rzeczypospolitej, wschodnia (językowo wówczas przeważnie polska) zamieniona w osobne księstwo, stała się pastwą późniejszego rozległego państwa pruskiego, które z czasem dotarło aż do Renu: tym sposobem, z rozszerzeniem się Prus, nazwa po wymarłym drobnym plemieniu letońskim przeszła na olbrzymi odłam niemieckiego narodu. Do nazwy tej wszelako i odłam narodu polskiego ma zupełnie uzasadnione prawo, skoro dzisiejszymi tubylczymi mieszkańcami właściwych, starych Prus (królewskich i książęcych) są zarówno Polacy, jak Niemcy. Pierwotne, gniazdowe Prusy, to część i etnograficznej Polski, zaś Polak-Prusak jest tak samo odmianą typu ogólnopolskiego, jak Polak-Kujawiak lub Podlasiak i podobnie jak odmianą typu ogólnoniemieckiego jest Niemiec-Prusak i Niemiec-Bawarczyk. Prusacy-Niemcy przeważają znacznie liczbą, Prusacy-Polacy żyją tu przecież w liczbie około 900.000, z czego na Prusy zachodnie przypada 600.000, na wschodnie 300.000, a całe duże połączenie obu tych krajów są tak szczerze polskie, jak nasza wieś pod — Krakowem.

Wszędzie, gdzie przyroda poskapiła naturalnego wału granicznego, oddzielającego od siebie różne osiedlenia narodowe, spotykamy, podobnie jak na naszym zachodzie i wschodzie, to zjawisko wzajemnego przenikania się i wciskania w obce obszary.

Linia pograniczna biegnie poszarpana czasem w strzępy, pełno w niej załamań, zatok, wązkich języków sięgających daleko od podstawy macierzystej, całe wreszcie archipelagi wysp bądź zwolna niknących, bądź coraz to przybierających na obwodzie: niezawodny znak, że tu nie należy szukać sielanki sąsiedzkiego pożycia. Ale wszystkie te enklawy pograniczne, typowe wszędzie, gdzie miłujących się bliźnich nie odgradziła od siebie wysoka góra ani głęboka rzeka, gdzie równinne położenie i brak wszelkiej zapory zapraszały wprost do rozszerzenia „stanu posiadania“, są niczem wobec istnego bigosu narodowościowego, jaki wykazuje Macedonja lub Banat węgierski. Dość spojrzeć na mapę, aby załamać ręce nad złudą rozgraniczenia interesów w tej szachownicy plemion. Stąd, z macedońskiej zbieraniny wszelkich możliwych „mniejszości“ orjentu europejskiego, buchał ów nieznużony złowrogi płomień, co kopząc i smoląc pod przysłowiowym bałkańskim kotłem — podpalił wreszcie połowę świata.

Splot znacznej części tych zaszębień, uwarstwowień, nalotów, okaleczeń, cały ten nieraz dziwaczny rezultat wielowiekowego procesu ścierania się ludów i ich walki o lepsze miejsce na ziemi — oto część integralna i nowoczesnej kwestji narodowościowej w Europie, kwestji, nad której choćby częściowem uporządkowaniem oczekiwany kongres dyplomatów biedzić się będzie prawdopodobnie, a dalsze, wiekuisie ruchliwe, zmienne i niepowstrzymane życie — napewno.

1916.

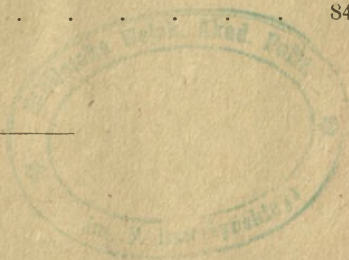
Jh. 171.

## TREŚĆ:

---

Taniec wśród mieczów (wstęp) . . . . .	3
Król . . . . .	7
Notatki . . . . .	11
Jan Chrzciciel . . . . .	47
My i kultura zachodnia . . . . .	49
Ułan z pod Rokitny . . . . .	53
Jawa . . . . .	54
„W rozzumnem ocenieniu sił“ . . . . .	57
Okręt człowieczeństwa . . . . .	60
Poszukiwanie sensu wojny . . . . .	64
Legja honorowa matek . . . . .	65
O memorjale Kościuszki . . . . .	67
„Godni być narodem“ . . . . .	69
Dżingischan . . . . .	70
Kampanja o zachodnią Polskę . . . . .	72
Miałeś chacie złoty róg . . . . .	76
Aforyzmy . . . . .	80
Naród . . . . .	84

---





49229/

10.12